MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 42. WARSZAWA, 30 WRZEŚNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

W IMIĘ WZMOCNIENIA PAŃSTWA

GŁOŚNE wystąpienie min. Becka w Genewie, stanowiące zerwanie „traktatu o mniejszościach", było wynikiem nacisku polskiej opinji, od długiego już czasu buntującej się przeciwko ciążących na polskiem życiu więzach tego traktatu. W pierwszej chwili było wrażeniem szerokiego ogółu, że między stanowiskiem opinji a stanowiskiem rządu nastąpiło całkowite wyrównanie,— że rząd w poglądzie na sprawę „mniejszościową" i w praktycznych konsekwencjach tego poglądu opinję dogonił.

Wkrótce jednak okazało się, że między rządem a opinją panuje w poglądzie na tę sprawę istotna, można rzec: zasadnicza rozbieżność. Rząd stanął na stanowisku, że zobowiązania, ciążące na Polsce wskutek przyjęcia przez nią w swoim czasie „traktatu o mniejszościach", powinny być rozszerzone na wszystkie państwa świata, a przynajmniej Europy, dzięki czemu usunięta zostanie nierówność praw Polski i innych państw. Polska zaś opinja publiczna uważa, że obok ważnej zresztą kwestji usunięcia tej nierówności, istnieje bez porównania jeszcze ważniejsza kwestja: usunięcie obecnego skrępowania Polski w jej prawie urządzania się nawewnątrz według własnej woli; a więc że należy dążyć nie tyle do narzucenia „traktatu o mniejszościach" innym państwom — co do skasowania go w Polsce.

Obóz polityczny w Polsce, zwący się obozem „państwowym", nie ma (w myśl swoich oficjalnych oświadczeń) nic przeciwko temu, że państwo polskie jest osłabione przez wpływ czynnika destrukcyjnego, jakim są, obdarzone przywilejami, t. zw. mniejszości narodowe. Jemu chodzi tylko o to, aby „mniejszości" (niekoniecznie polskie) miały te same, destrukcyjne przywileje w innych państwach i aby dzięki temu usunięta co najwyżej została godząca w *prestige* Polski nierówność.

A tymczasem rzeczą istotną jest nietyle sprawa *prestige*'u — co merytoryczny wzgląd na to, że, dla stworzenia podwalin istotnie mocarstwowego rozwoju Polski, konieczne jest jej możliwe wzmocnienie na wewnątrz — a temu właśnie stoi na przeszkodzie nasza wewnętrzna sprawa żydowska. Musimy sprawę żydowską w Polsce rozwiązać w myśl żywotnych interesów naszego narodu; do tego celu potrzebna nam jest swoboda ruchów, które „traktat o mniejszościach" krępował.

Gdyby rząd polski był obrał odrazu taktykę, stawiającą sobie za cel nie „upowszechnienie zobowiązań mniejszościowych", lecz ich zniesienie w Polsce — byłby niewątpliwie uniknął wielu skutków i okoliczności niezbyt dla Polski pożądanych, a zarazem, być może, łatwiejby do celu doszedł. W poprzednim numerze „Myśli Narodowej", w artykule p. Odrowąża, wskazane zostały możliwości prawne, dające podstawę do wyzwolenia się z więzów „traktatu o mniejszościach". Gdyby chciano z możliwości tych skorzystać w sposób stanowczy i śmiały — cel mógłby być osiągnięty kosztem znacznie mniejszych zadrażnień i komplikacyj (a nawet posunięć w pewnym stopniu kompromitujących), niż to się stało obecnie.

Czytając sprawozdania z debaty genewskiej Polak nieraz ma uczucie, że zrozumialsze mu są argumenty niektórych mówców, którzy z przedstawicielami Polski polemizowali, niż niektóre argumenty z naszej strony.

„Delegat Wielkiej Brytanji, p. Eden zaznaczył na wstępie", — donosi Polska Agencja Telegraficzna — „że wydaje mu się nieco paradoksalne, iż minister Beck, który uwypuklił w mowie swej na zgromadzeniu wady obecnego systemu, jednocześnie wysunął propozycję generalizacji tego systemu". Niemal te same słowa wypowiedział delegat Kanady. Niepodobna jest temu zdaniu Anglosasów odmówić wielkiej słuszności: bo pocóż upowszechniać to, co w wyniku eksperymentu, przeprowadzonego w niektórych tylko państwach, okazało się złe i niebezpieczne? Zdrowy rozsądek

nakazywałby raczej znieść tę rzecz złą tam, gdzie ją już poprzednio wprowadzono, aniżeli zasiąg jej wpływu rozszerzać.

Niemal na cały sens przemówienia p. Edena— z wyjątkiem jednego tylko punktu (o tem, że „stan taki nie został jeszcze osiągnięty", — możnaby się z polskiego stanowiska zgodzić.

„Problem będący przedmiotem traktatu o mniejszościach (streszcza kiepską polszczyzną P.A.T.)—jest—zdaniem p. Edena—problemem ograniczonym. Istnieje on tylko tam, gdzie wskutek zmian terytorjalnych w niektórych krajach znalazły się grupy narodowościowe, związane etnicznie nie z tem państwem, lecz z państwem sąsiedniem. Chodziło o danie gwarancji tym grupom w interesie pokoju europejskiego. Podobny problem nie istnieje — zdaniem mówcy — w skali światowej. Jeżeliby mechanizm, stworzony dla tych celów, specjalnie był zastosowany do krajów, gdzie istnieją mniejszości, ale gdzie niema analogicznego problemu o charakterze międzynarodowym, to mogłoby to niepotrzebnie wytworzyć taki problem. Przewidziany system nie ma bynajmniej istnieć wiecznie, tylko tak długo, jak długo istnieje problem, dla którego został stworzony. Celem traktatu jest nie uwiecznienie problemu, ale jego rozwiązanie. Idealną sytuacją będzie brak kontroli ze względu na jej niepotrzebność. Pytanie jest jednak, czy stan ten został już osiągnięty".

„Problem mniejszości istnieje tylko tam"—mówił dalej delegat Wielkiej Brytanji—„gdzie mniejszość w jednym kraju związana jest z większością kraju sąsiadującego więzami rasy, języka, lub religji. Ta definicja" — dodaje mówca—„nie obejmuje specjalnego problemu mniejszości żydowskich".

Gdyby chodziło tylko o przejściowe przepisy, obowiązujące w prowincjach, przyłączonych do innego państwa—możnaby się teoretycznie zgodzić na na ich upowszechnienie. Byłoby to urządzenie o charakterze humanitarnym, podobne do zasady, że się w nowoprzyłączonych prowincjach przez lat parę — aż dopóki żal po utraconej przynależności państwowej w tych ich mieszkańcach, którzy do tej dawnej przynależności byli przywiązani, choć trochę się nie ukoi,—nie wprowadza przymusowej służby wojskowej. Oczywiście, od zasady tej nie mogłoby być wyjątków.

Oczywiście też celem przepisów „mniejszościowych" w tym wypadku byłoby, zgodnie ze słowami p. Edena, „nie uwiecznienie problemu, ale jego rozwiązanie".

Słuszne jest również zdanie, że „problem mniejszości" istnieje tylko tam, gdzie mniejszość w jednym kraju „związana jest z większością kraju sąsiadującego". Otwiera się tu szerokie pole dla konwencyj, opartych na zasadzie wzajemności. Stanowisko interesu państwowo - narodowego jest w tym wypadku całkiem jasne. Chodzi nam o wzmocnienie państwa—i dlatego nie widzielibyśmy możności dopuszczać do takiego uszczerbku jego interesu wewnętrznego, który wzamian nie byłby okupiony korzyściami, uzyskanemi za kordonem granicznym (ochrona własnych „mniejszości" zagranicą).

Ale z tegoż stanowiska uważamy za rzecz najzupełniej nierozsądną nadawanie przywilejów „mniejszościowych" narodom, które za te przywileje nie mogą niczem się odwzajemnić. Narody takie, nie rozumiejące treści życia państwowego, w dążeniach swoich i działaniach nie odpowiedzialne i nie hamowane względem na to, jakie to pociągnie za sobą skutki w ich państwie ojczystem, nie odpowiadają warunkowi korzystania z humanitarnych urządzeń „mniejszościowych" w sposób rozsądny i taktowny.

P. Eden słusznie zaznaczył, że jedna jest tylko taka „mniejszość" w świecie: mianowicie „mniejszość" żydowska. Tej właśnie „mniejszości" żadnych uprawnień przyznawać nie chcemy.

Jeśli rząd polski dąży do „upowszechnienia traktatów mniejszościowych", z czego główną, realną korzyść odniosłaby przedewszystkiem wszędzie obecna „mniejszość" żydowska — to może być pewien, że opinji publicznej w swoim kraju mieć za sobą nie będzie. Ogół społeczeństwa polskiego pragnie wzmocnienia swego państwa. I dlatego, rad z uwolnienia się, oby nieodwołalnego, z więzów dzisiejszego „traktatu o mniejszościach", nie zgodzi się już nigdy na ponowne przyjęcie na siebie jarzma podobnego traktatu, — choćby „upowszechnionego" i solidarnie przyjętego .przez wszystkie państwa nietylko Europy, ale świata.

WIEL.

STARY O MŁODYCH

I

LUBO droga, po której kroczył obóz narodowy w okresie pomajowym nie była zaiste usłana różami, bo prawo swoje do życia musiał on zdobywać uporczywą walką z prądami, dążącemi świadomie do jego zagłady, to przecież jedynym promieniem, rozświetlającym cierniste ścieżki pochodu do zwycięstwa, było poczucie własnej siły i zwartości duchowej, płynące z wielkości idei, której służył i o którą rozbijały się wszelkie ataki sił wrogich.

Istotnie, prócz przygotowanego zgóry przejścia do obozu przeciwnika i zagarnięcia „Słowa Polskiego" przez „zespół stu", dość luźnie z obozem związany, inne próby odstępstwa dałyby się policzyć na palcach jednej ręki. Zresztą przeminęły one bez szerszego echa lub skończyły się kompromitacją osób, starających się wywołać rozłam w szeregach narodowych, że wspomnimy tylko żałosne dzieje gazety, założonej przez byłego posła Antoniego Sadzewicza.

Dlatego, gdy w innych stronnictwach opozycyjnych agitacja sanacyjna uczyniła głębokie szczerby, to obóz narodowy po pewnym, nader krótkim okresie osłabienia wpływów, co uwidoczniło się w zmniejszeniu grupy parlamentarnej Stronnictwa Narodowego po wyborach 1928 roku, odzyskuje na nowo utraconą pozycję i w walce wyborczej 1930 roku jest jedynym poważnym przeciwnikiem stronnictwa rządowego, zdobywając, pomimo wielkiego nacisku władz i osławionych „cudów nad urną", przeszło jedną szóstą część wszystkich mandatów sejmowych.

Jedną z najsilniejszych podwalin ruchu narodowego był założony w grudniu 1926 roku przez Romana Dmowskiego Obóz Wielkiej Polski, w którego obrębie powstał w 1927 r., z inicjatywy młodzieży lwowskiej Ruch Młodych, rosnący z żywiołową siłą, ogarniający zrazu młodzież wyższych uczelni, a następnie skupiający pod hasłami narodowemi coraz liczniejsze szeregi młodzieży robotniczej, rzemieślniczej i włościańskiej. Tej tak szybkim pędem wzbierającej fali sfery sanacyjne nie mogły przeciwstawić nic więcej ponad szereg dokuczliwych szykan, administracyjnych zakazów lub *ad hoc* skonstruowanych ustaw, mających na celu osłabienie, a nawet unicestwienie niebezpiecznego dla zamierzeń rządowych ruchu. Widząc, że wszelkie próby rozkładu obozu od wewnątrz również całkowicie zawiodły, starano się osiągnąć ten cel przez stopniowe rozwiązywanie organizacyj dzielnicowych O. W. P., a w drodze ustawodawczej przeprowadzono ustawę uniwersytecką, poddającą surowemu regulaminowi swobodną działalność stowarzyszeń akademickich.

Były to oczywiście ciosy dla obozu narodowego bardzo dotkliwe i krępujące swobodę ruchów. Pomimo to efekt tej polityki „silnej ręki" okazał się w praktyce znikomy. Ruch narodowy, tłumiony i prześladowany, nie utracił jakoś siły przyciągania szerokich mas, skoro w okresie najsilniejszych represyj wykazał w czasie wyborów samorządowych w dzielnicach zachodnich znaczne wzmożenie swoich wpływów, którego punktem kulminacyjnym był następnie niebywały triumf wyborczy w zniemczonej i zażydzonej Łodzi. Obóz nasz w ciągu blisko półwiekowego istnienia tak się zahartował w ciężkich zmaganiach z przeciwnościami i tyle zwycięskich walk przeprowadzał z siłami wrogiemi, które zlewa, zprawa, a nawet zzewnątrz sprzymierzały się na jego zgubę, że się już żadnej walki nie przestraszy. Ufny w potęgę idei, którą w życiu realizuje, nie traci on nigdy wiary w ostateczny jej triumf. Dlatego i w dzisiejszych, bardzo ciężkich stosunkach politycznych był gotów prowadzić swą akcję z niesłabnącą energją i poświęceniem. Wszelako nieodzownym warunkiem powodzenia pracy narodowej była jej spójność, oparta na harmonijnym i karnym zespole wszystkich jego członków.

Niestety, w ostatnich czasach tego właśnie warunku zabrakło. Zachwiały się jednolite dotychczas szeregi. Nastąpiło pewne załamanie się dusz, ujawniły się coraz silniejsze rozdźwięki, które wkońcu doprowadziły do fatalnego w swych skutkach rozłamu na trzy odrębne grupy. Fakt ten odbił się radosnem echem w szeregach naszych przeciwników, ziszczał bowiem najśmielsze ich nadzieje. Rozłam wewnętrzny na tle ideowem był dla nich bez porównania większem zwycięstwem, niż praktykowane dotychczas wyłomy w innych stronnictwach, przyciągające kilka lub kilkanaście jednostek do obozu rządowego. Natomiast szerokie koła wyznawców idei narodowej były tym rozłamem zupełnie zaskoczone. Tak niedawno jeszcze cieszono się z sukcesów obozu w solidarnej akcji na tle wyborów poznańskich, tak głęboko wierzono w niespożyte siły kierunku narodowego, odpierającego zwycięsko ataki przeciwników, tyle nadziei łączono z potężnym ruchem młodych, dającym rękojmię stałego i trwałego wzmacniania walczących szeregów, że nikt nie przypuszczał, aby pobudka do złamania linji bojowej odezwała się właśnie w najmłodszych drużynach.

Do spotęgowania zamętu pojęć, wywołanego rozłamem, niemało przyczynił się fakt, że obie secesyjne grupy motywowały swe wystąpienie wiernością dla sztandaru ideowego, rozwiniętego przez Obóz Wielkiej Polski, a nawet w różnych enuncjacjach swoich powoływały się na autorytet twórcy obozu R. Dmowskiego. Wytworzyła się stąd sytuacja paradoksalna, że ludzie, odmawiający posłuchu swemu przywódcy, chcieli uchodzić za jedynych realizatorów jego haseł politycznych. W tych warunkach opinja publiczna nie mogła i dotychczas nie może się zorjentować, jakie były właściwe przyczyny rozłamu. Do rozproszenia wątpliwości nie dopomogły bynajmniej urzędowe deklaracje rozłamowców, w których nie znaleziono żadnych wskazówek konkretnych, dających odpowiedź na pytanie, dlaczego akcja nowych obozów nie mogła się rozwijać w ramach dawnej organizacji. Inne publikacje młodych, rozsiane po łamach wydawnictw, jak „Sztafeta", „Awangarda", „Czuwamy" i t.d. unikały również wyraźnego postawienia sprawy. Jedynie, niejako pomiędzy wierszami, można było wyczytać zarzut, że starsze pokolenie obozu narodowego tkwi w tradycjach ustroju demokratyczno-liberalnego i nie jest już w stanie zrozumieć nowych haseł, bardziej odpowiadających duchowi czasu, a stąd nasuwał się wniosek, że winno ono usunąć się w cień i oddać ster akcji politycznej i społecznej w ręce młodych.

Pozatem w pismach, wydawanych w Poznaniu, błąkała się dość mglista koncepcja pozytywnego ustosunkowania się do twórczości państwowej i pozbycia się ducha negacji. Odkładając na później rozważenie tej koncepcji, zajmę się przedewszystkiem dążeniem młodych i niedawnych naszych współwyznawców, a więc, mimo pozornie dzielących nas różnic — kolegów do zajęcia kierowniczego stanowiska w działalności obozu narodowego. Przyznaję zupełnie szczerze, że wszystkie moje sympatje są po ich stronie, a dążenie młodych do objęcia władzy w społeczeństwie uważam za naturalne, słuszne i zgodne z interesami narodu i państwa. Korzyści płynące z udziału sił młodych w rządach nie ulegają zaprzeczeniu. Ludzie starzy mogą być cennym regulatorem życia publicznego, czynnikiem niezbędnej równowagi w polityce narodowej, skarbnicą zbawiennych rad, opartych na długoletniem doświadczeniu, ale z wyjątkiem fenomenów natury, w rodzaju Clemenceau, wszędzie i zawsze jedynem źródłem siły, pracy, energji i inicjatywy twórczej są ludzie młodzi, a mówiąc ściślej, ludzie w sile wieku. Na ostatnie słowa kładę specjalny nacisk, bo, przyjmując granicę wzwyż i eliminując do pewnego stopnia starość, nie możemy młodości przyznawać niczem nieuzasadnionych przywilejów.

W tem rozumieniu młodymi w dziedzinie działalności publicznej czy kierownictwa politycznego nazywam ludzi pomiędzy 30-tym a 50-tym rokiem życia. Oczywiście, do objęcia roli przewodniej w społeczeństwie nie wystarcza jedynie młody wiek, połączony z ambicją sprawowania władzy. Do objęcia władzy trzeba pozatem posiadać odpowiednią siłę. Bo władza należy do rzeczy, nie dających się wyprosić pięknemi słowami, ani uzasadnić książkowemi argumentami, ani wreszcie być otrzymaną od kogo w darze. Władzy się nie do-

staje, ale się ją poprostu bierze. Jak się to zaś odbywa, o tem mogę powiedzieć słów kilka z własnego doświadczenia, należę bowiem do pokolenia polityków, które nie przekroczywszy czterdziestki ujęło w swe ręce ster opinji publicznej w jednej dzielnicy Polski, zmuszając całe społeczeństwo do poddania się jego przewodnictwu. Mam na myśli rok 1905-ty w Królestwie Polskiem po ogłoszeniu ukazu konstytucyjnego w Rosji.

Cokolwiek dałoby się powiedzieć o wadach i brakach tej konstytucji, które uwidoczniły się silniej w miarę osłabienia ruchu rewolucyjnego w Rosji, to jednak nie można zaprzeczyć, że w ówczesnych warunkach społecznych i politycznych był to akt wielkiej doniosłości państwowej. Zmieniał on radykalnie stosunek rządu do rządzonych, dawał ograniczoną, ale niemniej cenną, swobodę myśli i słowa, umożliwiał obronę praw obywatelskich, a przed narodami podbitemi, jak polski, otwierał widoki samodzielnej organizacji sił społecznych i bardziej skutecznej walki o wzmocnienie podstaw odrębnego, narodowego bytu. A jednak w tej ważnej dla społeczeństwa polskiego w Królestwie chwili, można było wątpić, czy znajdzie ono dość sił, aby wyzyskać nową pomyślną konjunkturę. Przeszło stuletni ucisk wroga, a w ostatnim okresie popowstaniowym system polityki rusyfikacyjnej, działający w imię znanej maksymy *„divide et impera"*, utrzymywał społeczeństwo w stanie tak groźnego duchowego i umysłowego rozbicia, że można było wątpić, czy potrafi ono zdobyć się na solidarną i energiczną obronę zaprzeczanych mu praw do życia. Sięgając w przeszłość, przypominano sobie analogiczną sytuację w roku 1848-ym, gdy w pierwszym parlamencie austrjackim prawie połowa delegacji galicyjskiej składała się z chłopów polskich i ruskich, manifestujących, pod wodzą słynnego gubernatora Galicji, hrabiego Stadiona swoje wiernopoddańcze uczucia dla Cesarsko-Apostolskiej Mości. I jeśli Królestwo Polskie uniknęło podobnej hańby, a do pierwszej Dumy petersburskiej wysłało delegację solidarną i wybraną pod hasłami narodowemi, to stało się to przedewszystkiem dzięki twórczym umysłom młodych przywódców ruchu wszechpolskiego, którzy począwszy od „Głosu", a kończąc na „Przeglądzie Wszechpolskim" i „Polaku", ideę narodową w umysły ludzkie wszczepiali.

Ale obok nich jeszcze większą zasługę mieli młodzi ideowcy, którzy ich ideje w życiu realizowali. Może byli oni mniej biegli w formułowaniu programów politycznych, ale za to nosili w sercu wielkie umiłowanie sprawy narodowej, które sprawiło, że machnąwszy ręką na wiele miłych zdobyczy wielkomiejskiej kultury, rozproszyli się po zapadłych kątach kraju, aby tam w trudzie dnia codziennego krzewić hasła walki o nieprzedawnione prawa narodu do niepodległego bytu. I widocznie metoda ścisłej współpracy pomiędzy przywódcami, którzy społeczeństwu drogi myśli narodowej torowali, a wykonawcami, wcielającymi w czyn ich ideje, okazała się celową i skuteczną, skoro hasło odrodzenia narodu przez pracę u podstaw znalazło poparcie w szerokich sferach społeczeństwa, które nadto nie wahało się oddać w ręce młodych działaczów steru polityki narodowej. Podobne objawy zaufania do młodych dawały się stwierdzić również w dziedzinie prac społeczno-gospodarczych. Naprzykład w 1907 roku powstało Centralne Tow. Rolnicze, ogniskujące w sobie prace wszystkich rolników Królestwa Polskiego. Założycielem i prezesem tej instytucji był czterdziestoletni Stanisław Chełchowski, a władze naczelne towarzystwa składały się w olbrzymiej większości z młodych rolników, wśród których człowiek powyżej lat czterdziestu był rzadkim wyjątkiem. Wprawdzie i wtedy różni staruszkowie oburzali się na niesłychaną uzurpację przewodnictwa przez młokosów, ale ich protesty musiały umilknąć wobec faktu dokonanego, jakim był przemożny wpływ żywiołów młodych na kształtowanie się życia publicznego.

Dziś, gdy przewracamy kartki tych niezbyt dawnych dziejów, obserwujemy zjawiska wprost odwrotne. Bo jeśli nawet słuszne są żale młodych, że w akcji politycznej aspiracje ich nie były zawsze odpowiednio doceniane, to w innych dziedzinach pracy publicznej, jak w organizacjach społeczno-gospodarczych brak młodych działaczów dawał się dotkliwie odczuwać i często widzieliśmy ludzi starszych, wyczerpanych pracą, wyczekujących daremnie na zluzowanie ich przez młode siły. Ruch młodych, budzący tyle nadziei w społeczeństwie, zastygł niejako w organizacjach akademickich i nie bije żywszem tętnem na placówkach pracy społecznej. A szkoda, bo działalność ta była pod każdym względem imponująca. To też cieszono się w społeczeństwie polskiem z bujnego rozwoju towarzystw samopomocy akademickiej, z propagandy idei narodowej i z autorytetu, zdobywanego przez naszą młodzież w sferach międzynarodowej organizacji studenckiej. Wiele obiecywano sobie z gwiazd, błyszczących na firmamencie życia akademickiego. Tymczasem mijały lata, biegły jeden za drugim semestry uniwersyteckie, a sytuacja pozostawała bez zmiany.

Wciąż słyszeliśmy o świetnie rozwijającym się ruchu młodych, czytaliśmy artykuły przywódców młodzieży, świadczące chlubnie o ich wyrobieniu umysłowem i poważnej wiedzy, wiedzieliśmy, że są wśród młodych znakomici mówcy, ale ta świetna plejada młodych dotyczas daje bardzo nikły odsetek prawdziwych działaczów społecznych, cieszących się uznaniem dojrzałych warstw narodu i uprawnionych do przemawiania również w imieniu starszego pokolenia. Dlatego, gdy ze środowiska młodych pada okrzyk: *„ôte-toi que je m'y mette"*, to trudno obronić się wrażeniu, że brzmi on fałszywą nutą rozdźwięku pomiędzy słowem a czynem, że brak mu jakiegoś niezbędnego szczebla, który musi przecież istnieć pomiędzy prezesurą Bratniej Pomocy, a wysoką szarżą przywódcy szerokich mas narodu.

Piszę te słowa nie w celu krytyki działalności naszych młodszych kolegów lub przechwalania się zasługami starszego pokolenia, lecz poprostu w celu stwierdzenia faktu, nie ulegającego zaprzeczeniu.

Być może, że nowoczesne warunki etatyzacji życia publicznego uniemożliwiają młodym zdobycie kierownictwa w pracy społecznej,że narzucone zgóry tendencje zniechęcają do pracy publicznej ludzi o niezależnym sposobie myślenia, że wreszcie ciężkie, kryzysowe czasy nie pozwalają wielu ludziom na bezinteresowną pracę w organizacjach społecznych. Ale jeśli tak jest, to starsze pokolenie obozu narodowego nie ponosi tu żadnej winy, a skargi na istniejący stan rzeczy winny być

zwrócone w innym kierunku. W każdym razie stwierdzam, że starsze pokolenie jest dalekie od odsuwania młodych obozu narodowego od udziału w pracy publicznej, ale ofiarować im mandatów do tej pracy również nie jest w stanie. Bowiem tego rodzaju mandaty zależne są jedynie od wpływów, jakie młodzi działacze narodowi zdobędą w szerokich sferach społeczeństwa.

(Dok. n.) MARJAN KINIORSKI

WIELCY I MALI

RÓWNOCZEŚNIE i równolegle idą w piśmiennictwie europejskiem, w dziedzinie popularyzacyjnej, historycznej monografji dwa prądy, dwa kierunki, a może czasem tylko dwie mody. Jeden zasilają „odbronzownicy", a w drugim zapracowują się wybielacze. Rzemiosło, a niekiedy kunszt tych pierwszych polega na odkręcaniu, pomniejszaniu, demaskowaniu, odbronzowywaniu, odwartościowywaniu Wielkich, nietylko wielkich królów, regentów, władców, wodzów, ale także wielkich legend, wielkich talentów, wielkich świętości.

Patentowana, podręcznikowa, ogólnie, powszechnie uznana i skatalogowana, poprostu notoryczna znakomitość, poddawana bywa procesowi prześwietlania Roentgen'owskiego, tak surowo przeprowadzanemu jak wiwisekcja; poczem uczony badacz składa nową ekspertyzę, całkowicie odmienną od opinji preopinantów.

To jest specjalność *debrinker*'ów, jak ich zowią w Anglji, czyli pomniejszycieli olbrzymów, ikonochlastów, obrazo-boy-ców, heretyków, bywa, że i blasfemistów, czyli bluźnierców. Przeprowadzają oni swoje akcje, czy procedery naogół nie w intencji niwelacyjnej zrównania w niż, do jednego poziomu przeciętności, ale przeważnie w interesie prawdy immanentnej i integralnej, to znaczy na... benefis innej, drugiej postaci historycznej, czy literackiej, przez figurę do „odbronzowienia" dojrzałą w cień wypędzonej, w zapoznaniu i niesławie butwiejącej.

„Odbronzowić" można (i godzi się) nietyko pojedyńcze (i podwójne) indywidualności, czy indywidua, ale także całe grupy, środowiska, sfery, procedery, nawet narody. Spartan np. można prześwietlić jako kulfonów i patałachów. Szkotom łatwo udowodnić w dziejowości utracjuszostwo i marnotrawstwo.

Najświetniejszy dziś „odbronzowiacz" angielski, lord Raglan (nie mieszać ze sposobem krojenia płaszczów) udowodnia Brytanom brak normandzkiej krwi, podczas gdy najświetniejszy niemiecki: Werner Hedemann odmawia Prusakom i Hohenzollernom przymiotów militarnych.

Równocześnie z tem idzie i prąd wybielaczy w stosunku do całych grup i całych narodów. Rewizji zostaje poddana Inkwizycja Hiszpańska, aby się okazało, jak opinja o niej całkowicie sfałszowała prawdę dziejową i rzeczywistość. Lud Inkasów w Peru, po nowych, źródłowych badaniach, występuje na pierwszy plan, jako plemię kulturotwórcze, wyższe nad Greków. Twórcy nowoczesnej Brytanji (*Empire*, *Commonwealth*), z pewnego stanowiska oglądani, to sami improwizatorzy i dyletanci (nietylko okrutnicy i sadyści), natomiast cały skład i zespół dyplomacji rosyjskiej w XIX wieku, to mistrze i wirtuozi swego kunsztu, idący zaraz po watykańskich...

Odbronzowywane lub odwrotnie wybielane bywają więc nietylko jednostki szczytowe, ale całe grupy profesjonalne, do naszych czasów zbyt jednostronnie, to znaczy albo ujemnie, albo dodatnio, przez dziewiętnaście wieków osądzane. I bądź-cobądź przybliża nas to do ideału prawdy, odmierza większą dozę sprawiedliwości, choć, oczywiście, w pierwszej fazie, jako rzecz niespodziewana, irytuje i rozdrażnia, prowokując dyskusje i polemiki, zawsze jednak owocne, bo przypominające i rozświetlające rzecz przez mobilizację wszystkich sił *pro* i wszystkich *contra*.

Do szerokich warstw tak zwanej inteligencji (dzisiaj już *lucus a non lucendo*) oczywiście tak te procesy rewizyjne (apelacyjne), jak ich rezultaty poprostu nawet nie docierają. Szwajcarzy nadal czczą swego Wilhelma Tella, aczkolwiek ani żaden Tell, ani Wilhelm Tell nigdy nigdzie w Szwajcarji nie istniał, a wszystko, co się Tella tyczy, okazało się fikcją i mitem. Tak samo w podręcznikach historji polskiej, Kazimierz będzie nadal nosił epitet „Wielki", choć niejeden błąd polityczny popełnił, podczas gdy nie noszą doczepionego przymiotnika „Wielki" ani Jagiełło, ani Sobieski, ani Władysław IV. Motłoczysko inteligentne nadal nie będzie wiedziało o polskim Mazarinim, kardynale Oleśnickim i nadal tępo będzie wydziwiało jednej z najtragiczniejszych postaci naszej historji, to jest margrabiemu Wielopolskiemu. I nadal biedny Jan Kazimiarz będzie uchodził za „ortodoksa", „seduktora" i uwodziciela wojewodzin. Właściwie niema nawet żadnych nadziei, żeby integralna prawda historyczna, wydobyta z wielkiemi mozołami na wierzch, nietylko przedostawała się, ale przedostała i doszła w pełni do świadomości ogółu. Jeżeli bowiem badacze rozświetlą i odbronzują postacie reprezentacyjne z lewej strony, więc naprzykład takich „bohaterów" Wielkiej Rewolucji Francuskiej, jak Danton, Marat, Robespierre, to wtedy zatłukują prawdę kijami pisarze z judemokracji i masonerji, dla których te zbrodnicze karły są świętościami *(tabu)*, a znów jeżeli nam ruszyć nieco tego czy innego z „bohaterów narodowych", to my jesteśmy zmuszeni stawać w obronie „szarganych" świętości i trzepać po palcach „bluźnierców". W zgiełku polemik i dysput tylko cząsteczka 'prady historycznej przecieka do świadomości zaledwie wyższych dziesięciu tysięcy, reszta ginie i wszystko zostaje po staremu. Abraham Lincoln zostaje nadal wielkim prezydentem z marek pocztowych i dolarówek, Neron i Kaligula wcielonemi bestjami, a cesarz Konstanty najwiekszym i najhumanitarniejszym władcą Bizantyńskim. Ryszard nadal „Lwiem Sercem", *lady* Makbeth morderczynią, Marja Stuart męczennicą, Cyd Cydem, Sułkowski... konkurentem Napoleona.

W zaciemnianiu prawdy historycznej największą winę ponoszą wielcy pisarze, i to nietylko poeci pierwszej rangi, ale także powieściopisarze, pra-

cujący *sub specie maioritatis*, czyli „dla pokrzepienia serc" swego świata czytelniczego. Sami zostają często ofiarami fałszywego, niesprawiedliwego osądu, ale również sami fałszują rzeczywistość tendencyjnie, bezceremonjalnie a demagogicznie. Przez ich okulary, albo zbyt „różowe", albo przez ich szkła zbyt ciemne, patrzą potem narody i społeczeństwa na swoich pasterzy i na swoich... pastuchów. Największymi wrogami historyków-weredyków nie są antagoniści-kłamcy, a wyłącznie twórczy imaginatycy i fantaści. Uczonych ogół nie czyta, nie bierze nawet do ręki. Kościuszko pozostanie zawsze tym z Anczyca, a prac Skałkowskiego nikt nie tyka. Ileż to „zawinili" pod względem zaciemniania przeszłości Rzewuski, Kraszewski, Kaczkowski! Ile nabajkowali i nakłamali: Schiller, Walter-Scott, Dumas, Sue! Na Henryków angielskich patrzyło się dotychczas mniejwięcej oczyma... Szekspira. Jeżeli chodzi o ostatniego, o Heryka VIII, to dopiero teraz (po 400 latach!) autentycznego Henryka daje Anglikom Hilary Belloc. Także oczyma Szekspira na Kleopatrę, którą dopiero teraz (1934), mocno wybieloną i jako Greczynkę (Macedonkę) z pochodzenia (nie Egipcjankę!), daje nam Myriam Harry. Szyllerowska Marja Stuart, „odbronzowiona" doszczętnie przez protestanckich historyków (gruba, tłusta, brzydka, żarłoczna, intrygancka blondyna z kołtunem), doznaje teraz powtórnej rehabilitacji przez Lheritiera (Alcan) i, wyczyszczona, znów zbliża się do romantycznego konterfektu Szyllera.

Już poeci histozjofujący naszej generacji, już Wyspiański i Żeromski starali się mniej demagogicznie iść za konwencją, za legendą, za popularnym szablonem podręcznikowym, ale jednak i oni zbyt tendencyjnie apoteozowali to Sułkowskich to ludzi pięknych z r. 1831, nie zdobywając się na taką odwagę cywilną, niezależność i własną prawdę, na jaką włoscy „odbronzowiacze" zdobyli się wobec kabotyna Garibaldiego, lord Raglan wobec bohatera Walter-Scottowego, Szkota Wallace'a lub genjalny niemiecki „odbronzowiacz" Werner-Hedemann w stosunku do Barbarossy, do Fryderyka Wielkiego i do Bismarcka, nic oczywiście wspólnego nie mając z „koncepcjami" historycznemi takiego szmirusa, szmaciarza i oszusta międzynarodowego, jak ta wstrętna i stęchła kanalja, znana pod pseudonimem „Emil Ludwig", normalnie Kohn.

„Odbronzowiaczem" Mussoliniego został obecnie Armando Borghi, socjalista i ongiś współtowarzysz partyjny z ery Angelici Bałabanowej, który teraz splugawił *Il Duce* w książce p. t. „*Mussolini en chemise*" (E. Rieder, Paris).

Nie potrzebuje też długo czekać na „odbronzowiaczy" współczesny nam wódz i imperator 65 miljonów Teutonów. Ma ich od pierwszego momentu 16-ście miljonów, rozrzuconych i rozsypanych po całym globie. Ten Herod i Haman już im z rąk nie wyjdzie. Przebaczyć mu nie przebaczą do grobowej deski. Każdego Hohenzollerna jako następcę przyjmą jako Kazimierza Wielkiego lub Konstantyna Wielkiego. Nie będzie więcej ukochanego Faraona, jak ten przyszły w Berlinie, ze starej, notorycznie i historycznie prosemickiej dynastji.

Hitler „odbronzowiaczów" ma od momentu, kiedy wyszedł z mas, z Tschandali germańskiej, z iłu spółczesnego. Nie zostawią już na nim jednej suchej nitki. Zostanie na piasku pustynnym (w ich marzeniach) jak szkielet obgryziony przez szarańczę, z białemi, wypolerowanemi kośćmi. W kąt Neron, Galba i Witeliusz, w kąt Dzingis-chan, Tamerlan Attylla...

Skoro atoli tylu jest „odbronzowiaczów", urodzonych *debrinker*'ów dobrowolnych, godzi się i ujdzie raz przytoczyć i głos... wybielacza. *Apparent rari nantes in gurgite vasto.* Aczkolwiek są już tacy, nawet i Francuzi (bracia Tharaud, młody Barrés), to jednak nie ich tu sprezentujemy, a poprostu człowieka Schmidta, *homo* Schmidt, *quidam* Schmidt. Na początku było „Słowo" (wileńskie), a my za „Słowem":

„Gabinet, w którym pracuje i przyjmuje dyktator, jest właściwie olbrzymię salą. W głębi stoi biurko i ogromny fotel, o oparciu jak katedra, uwieńczonem masywnym, ciężkim orłem ze swastyką. Za biurkiem na ścianie wiszą portrety — Fryderyka Wielkiego i Bismarcka, a między niemi gazowa maska z czasów wojny światowej Hitlera. Przeciwległą ścianę zdobi parę krajobrazów pendzla samego Hitlera, który wbrew temu, co utrzymują o nim wrogowie, iż był sobie zaledwie malarzem pokojowym — jest wcale utalentowanym artystą. Sam widziałem parę portretów — a między niemi Roehma — którego Hitler doskonale uchwycił".

Tapeciarz! I portrecista! Do tego—Roehma!...

„Hitler wstaje codziennie o godz. 6-ej. Szklanka mleka wystarcza mu za śniadanie, poczem udaje się do Reichskanzlei. O godz. 7,15 punktualnie przychodzi szef prasy Dietrich. Audjencje trwają do godz. 1-ej...

Punktualnie o godz 1-ej Hitler wsiada do samochodu, olbrzymiego „Mercedesa", specjalnie opancerzonego, którym jedzie do rezydencji swej, położonej na tejże Wilhelmstrasse. Obiad przygotowuje mu kucharka — osobista przyjaciółka matki. Niewiele ma do roboty, gdyż Hitler, ściśle przestrzegający zasad jarskich, jada przeważnie jarzyny, podane na surowo. Mleko lub napój owocowy zastępują mu wszelkie inne trunki"...

Wciąż nie chłepcze krwi z czaszek? Nie kąpie się w szampanie (Heidsieck-Monopol)? Nie zjada centnaru kawioru i języków muren, karmionych ścierwem topionych żurnalistów z domów Mosse i Ullstein?

„Natychmiast po spożyciu tego skromnego obiadu Hitler powraca do Reichskanzlei, gdzie pracuje do późnego wieczora. Na kolacji, o równie uproszczonem menu, gości codzień najbliższych przyjaciół i współpracowników. Jedynie Goebbels unika bywania na tych kolacjach, raz, że woli jadać w gronie rodzinnem i obficiej, a powtóre dlatego, że znieść nie może towarzystwa Goeringa, o czem wszyscy, nie wykluczając Hitlera, wiedzą doskonale".

Nikt się Goebbelsowi nie dziwi, Goering nie jest zbyt... apetyczny...

„Hitler sypia po 4 godziny na dobę. Wystarcza mu to w zupełności. Zawsze gotów jest do drogi, rzeczy ma spakowane, a samolot na Tempelhoferfelde, przygotowany do lotu, unosi go, choćby w najgorszą pogodę, na inspekcję tej czy innej dzielnicy kraju. Wpada jak bomba, rozprawia się krótko i powraca do kuźni pracy politycznej w Reichskanzlei"...

No, a co ma Hitler z Heroda? Czy każe tańczyć gołej Salome wokoło tacy złotej z głową Johanaana?

„Oryginalne są *five o'clocki*, na których bywa od czasu do czasu Hitler w hotelu Kaiserhof. Do hotelu tego czuje specjalny sentyment. Tu zamieszkiwał, gdy był leaderem partji, tu przemyślał plan akcji, która go miała wynieść na czoło narodu. Łatwo można sobie wyobrazić z jakim ceremonjałem witają Führera w Kaiserhofie. Dyrektorzy i kelnerzy zbiegają się przy wejściu. Tłum szturmowców wpada do sali, oswobodzając i zajmując szereg stolików na środku: wśród ciasnego koła gwardji — jeden stolik zarezerwowany dla Hitlera; naczelny dyrektor osobiście wnosi z pompą... szklankę koziego mleka, którą stawia na stoliku Führera; orkiestra rżnie od ucha ulubionego marsza — „*Badenweilermarsch*" — na salę wchodzi Hitler".

Nieciekawe to i nudne. Cokolwiek purytańskie, a cokolwiek protestanckie.

Pierwszy raz katolik rzymskiej wiary stał się imperatorem 65 miljonów Niemców i jaki to ewangelik w obyczajowości, jaki purytanin!... Kozie mleko popija, zieleniną się karmi. W Monachjum siedział i z Monachjum wyszedł, a nawet piwa nie uznaje, Salvatora nie tyka... W wolnym czasie jedzie do Beyreuthu na Wagnerowskie *festival*'e. Teraz przesiedział kilka dni w Oberammergau na *Passionspiele* z Męką Pańską...

Jak to się wszystko pogodzi, jedno z drugiem? Jasny czy Ciemny? Tapicer czy artysta? Kocha muzykę, lubi owoce, jarosz i asceta. Jeżeli mu coś z Heroda, to każe rżnąć wszystkie Herodjady? Jeżeli ma coś z Nerona, to każe podpalić Berlin i będzie grał przytem na saxofonie? Jak to pogodzić? Ariel czy Caliban? Aryman czy Ormuzd? W każdym razie ciekawy egzemplarz fauny ludzkiej. Takiego jednak jeszcze nie było. *Oderint dum metuant.* Wiele będzie zależało od przypadku, a trochę będzie zależało od żydów. Chociaż, co prawda, „odbronzowiacze" już wszystko, co mieli, wypowiedzieli i wypisali. A może mu się uda?

ADOLF NOWACZYŃSKI

MONUMENTALIZM GROTTGERA

W roku bieżącym przypada siedemdziesięciolecie najznakomitszego z dzieł Artura Grottgera, nieśmiertelnego cyklu „Luthuania". W tej dacie godzi się uprzytomnić zasadnicze elementy wielkości Grottgera jako twórcy, czemu poświęcony jest artykuł poniższy.

PRZED LATY pewien artysta, a bardziej jeszcze miłośnik sztuki i dusza głęboko czująca, umysł o bogatej wyobraźni, — nie Polak, — cudzoziemiec, oglądając u mnie doskonałe reprodukcje cyklów Grottgerowych:

— Wspaniałe, — wspaniałe, — potężne — powtarzał. Ale... To powinno być na ścianach jakiegoś waszego panteonu... jakiejś świątyni narodowej...

Tu szerokim rozmachem rąk zrobił kilka ruchów w powietrzu, jakby kreślił linje i płaszczyzny na ścianach monumentalnego wnętrza.

Był to rzeźbiarz i — architekt. Tą opinją, a przedewszystkiem temi ruchami artysta wyraził cały monumentalizm Grottgera.

Monumentalizm i Grottger... Wielu ludziom wydadzą się te rzeczy poprostu niewspółmierne. Przecież przyzwyczailiśmy się do małych rozmiarów rysunków grottgerowskich i do tego, że dzieła, tak zwane „monumentalne", muszą posiadać wymiary ogromne, bodaj nawet potworne. Czasem też budzi się chęć przetransponowania dzieł Grottgera na wielkie wymiary ścienne, jak to uczyniła Sokolnia w Nowym-Sączu, umieszczając „Bój" z „Lithuanii" na zewnętrznej ścianie swego budynku. — „Teraz to będzie monumentalnie" — mówił prezes jednego z gniazd.

A jednak Grottger jest monumentalistą niezależnie od wymiarów metrycznych swoich dzieł. Tylko że dotąd na ten monumentalizm nie zwrócono należytej uwagi. Nie uczynił tego Bołoz Antoniewicz w swojej, w niejednem miejscu wnikliwej monografji. Bo też i pojęcie monumentalizmu nie jest ściśle określone. Jest to obiegowa moneta zdawkowa o wątpliwej wartości, — a nawet najczęściej poprostu liczman.

Tymczasem przy ścisłem określeniu monumentalizmu znajdziemy, że jest on zasadniczą cechą dzieł Grottgera. Monumentalizm (pomnikowość) zależy nie od wymiarów, lecz od zasadniczego charakteru swej budowy.

Przed wojną świetny i bystry nasz krytyk, St. Pieńkowski stoczył walkę o „Pochód Wawelski" W. Szymanowskiego (dziś w muzeum poznańskiem), twierdząc, że zamieniać go na pomnik na Wawelu byłoby równie potworną rzeczą, jak budować pomniki „z mleka". — Ale nie tylko z mleka, nie można też budować pomników z ciasta, a nawet z pudełek od zapałek czy kapeluszy. Nie dość na tem, nawet stupy induskie i pagody chińskie, mimo bezsprzecznej wartości artystycznej i nieraz imponujących rozmiarów, nie są pomnikowe i nie mają w sobie nic z monumentalizmu.

Nasz instynkt, nasze poczucie artystyczne, mówi nam, że pomnik, godny tego miana i zgodny ze swem założeniem, oprócz imponujących rozmiarów powinien posiadać pewne wewnętrzne cechy artystyczne i że one to przedewszystkiem stanowią o jego pomnikowości.

Prostota, szerokość śmiałych linij i płaszczyzn, zdecydowana i ścisła zwięzłość konstrukcji — powiedzmy pewne geometryczne zacięcie, z podporządkowaniem, a nawet wyeliminowaniem zbędnego zdobnictwa, wszelkich drobnych szczegółów — oto istotne cechy form monumentalnych w sztukach plastycznych. Że one same, niejako spontanicznie dążą do zwiększenia swych wymiarów, jest to rzecz naturalna i zrozumiała. Linja, płaszczyzna, śmiałym ruchem rzucona, bryła ściśle i zdecydowanie określona, rosną w wyobraźni i pod ręką artysty. Nie zawsze jednak mają dość przestrzeni, materjału i warunków.

Z tych form wynikają dalsze psychiczne konsekwencje. Monumentalizm jest owiany porywem wzniosłości, nastrój głęboki z jakimś pierwiastkiem filozoficzno-religijnym wyłania się z niego, przynajmniej w tym kierunku pobudza nasze poruszenia duchowe.

Monumentalizm w plastyce jest zjawiskiem rzadkiem, wielostopniowem i różnorodnem, czasem ujawnia się tylko w pewnych rysach, — czasem w całości pewnych dzieł, czasem u pewnych artystów nieomal w całokształcie ich twórczości,— a czasem i u całych narodów.

Może jedyną, najpełniej monumentalną w prostocie swej syntezy jest sztuka Egiptu. Poczynając od piramid, a kończąc na świątynich i większości posągów, ten wiew tajemniczy, zaświatowy, ta wzniosła siła, jest rysem zasadniczym.

Już Hellenowie, choć niejedną cechę monumentalizmu, jak np. prostotę, dążenie do syntezy po Egipcjanach odziedziczyli i sami rozwinęli, odleglejsi są od monumentalizmu, gdyż przez domieszkę realizmu są nadto ludzcy.—Tymczasem monumentalizm posiada cechy nadludzkie, niemal, o ile to możliwe dla plastyki, sięgające w dziedzinę

abstrakcji. W monumentalizmie wzniosłość przeważa nad harmonją nawet, podczas gdy u Hellenów przedziwna harmonja, równowaga elementów artystycznych góruje ponad wszystkiem.

Romanizm i wczesny ostrołuk posiadają w niejednem swem dziele już więcej monumentalizmu, skoro jednak nadchodzą ich epoki „barokowe", szczegóły wysuwają się coraz bardziej na pierwszy plan, zdobnictwo bierze górę, — znika monumentalizm.

W malarstwie niewielu mamy monumentalistów, rzeźba i architektura szczególniej, z natury rzeczy, są bardziej do niego skłonne.

Niemniej twórca nowożytnego malarstwa jest wspaniałym monumentalistą.

Giotto di Bondone (1267 — 1337) w każdem swem poruszeniu artystycznem jest monumentalistą, ale potem dopiero, w sto lat po nim zjawia Masaccio, który posiada cechy monumentalizmu. Pewne cechy w tym kierunku ujawnia Leonardo de Vinci, ale mimo niezmierzonej potęgi i ogromu swoich fresków, mimo wszechstronności największego genjusza plastycznego, nie jest monumentalistą Michał Anioł. — O monumentalizmie można mówić tylko przed jego Mojżeszem. — Z natury swego ujęcia kompozycyjnego mógł był być monumentalistą Rafael, gdyby nie pewna słabość i wiotkość jego talentu.

W dziewiętnastem stuleciu znam tylko dwu monumentalistów — monumentalnych w pełni ich twórczości: Puvis de Chavannes i Artur Grottger. Świadomością środków plastycznych swego monumentalizmu góruje następca Giotta — Francuz, — ale siłą napięcia i wyrazu, przedziwnie samorodnym genjuszem — Polak.

Obaj artyści, rówieśnicy odlegli i nieznający się, wyszli z pseudo-klasycyzmu akademickiego. Puvis de Chavannes (1824 — 1898), mimo iż rówieśnik Kossaka Juljusza, a więc o kilkanaście lat starszy od Grottgera, zaczął właściwie tworzyć nieco później (od r. 1865). Wchłonął w siebie wszystkie doświadczenia przebogatego środowiska i wspaniale nowatorskiej swej epoki i te rewolucyjne zdobycze malarskie przekształcił na swój własny, monumentalny styl. Spokojny, zrównoważony, z przedziwną jasnością buduje swoje, niemal architektoniczne i rzeźbiarskie obrazy, o śmiałych, wyrazistych linjach i płaszczyznach. Zdobywa nawet rzecz najrzadszą: monumentalizm kolorytu. Przez metryczną rytmikę linij i płaszczyzn, wyrazistość gestu i stonowanie barw, daje swym freskom potężnym niezwykły, głęboki nastrój. Wystarczy przestudjować jego „Życie św. Genowefy" w Panteonie paryskim.

Artur Grottger (1837 — 1867), niestety, nie mógł malować ogromnych, ściennych obrazów, musiał poprzestać na małych kartonach i kredce z fiszorkiem. I to była, może niezupełnie uświadomiona jedna z tragedyj jego artystycznego życia. Albowiem cała natura jego artystycznego porywu w momentalizmie swoim była nastawiona na freskowy rozmach.

Przed ćwierćwiekiem przeszło popularny na gruncie krakowskim lubownik sztuki, znawca wytworny, zbieracz zasłużony Jasieński, t. zw. „Japończyk", urządził wystawę, na której drzeworyty japońskie były umieszczone w zestawieniu z rysunkami grottgerowskiemi, jak mówiono, w celu tem większego pognębienia naszego twórcy. — Smutne i zarazem śmieszne nieporozumienie. To tak jakby orłu kazał być ważką. — Pięknie to, kiedy siatko-skrzydły owad buja na tle lekko pędzelkiem rzuconych linij trzcin, z białą plamą ośnieżonego stożka Fudżi-Jamy wzwyż i pomarszczoną wodą u dołu. — Ale co to ma wspólnego z polotem orła? — Choćby nawet orzeł uwięziony bił skrzydłami o pręty swojej klatki — orłem być nie przestaje.

Diametralnie przeciwstawne są sztuka japońska i sztuka Grottgera, i jedną miarą mierzyć się nie dadzą.

Był Grottger, bystry i wrażliwy obserwator, skłonnym do realizmu, a nawet naturalizmu, przy swym ogromnym talencie chłopak z doby wpływów Kossakowskich mógł pójść inną drogą. Zmagały się też w nim dwa pierwiastki i dwa kierunki. I tem zmaganiem się oraz niefortunnemi wpływami Wiednia należy tłumaczyć opóźnienie w dojrzewaniu talentu Grottgera.

Zdolności jego malarskie były zdumiewające, większe i wcześniejsze, niż któregokolwiek mu współczesnych, — przewyższał o wiele talentem Matejkę. A jednak rozwój jego dalszy był powolny i nierównomierny. Sprzeczne i konwencjonalne prądy artystyczne Wiednia, przykryte urzędową formułą, hamowały go w jego walce wewnętrznej, gdzie naturalizm ścierał się z monumentalizmem. I dopiero ogromny wstrząs narodowy wyzwolił genjusza Grottgerowskiego.

Rok 1861 — Cykl „Warszawa" — dał Grottgera monumentalistę.

Cykl ten posiada już wszystkie cechy monumentalizmu. — Prostota, — śmiałość zdecydowanych linij, szerokość płaszczyzn, podporządkowanie szczegółów całości, — prawie geometryczno-architektoniczne ujęcie kompozycyj i brył rzeźbiarsko - plastycznych. Ściśle związana z tem, potężna wyrazistość gestu i równie, jak u Matejki, poza ramy plastyki wychodzące napięcie psychiczne twarzy. — Nie posiada on tej różnorodności i bogactwa duchowych typów oraz indywidualności, co Matejko,—bo tamten jest realistą z rodu tytanów Michała Anioła, — ale jako idealista - syntetyk ma kilka zasadniczych, skoncentrowanych wyrazów, owianych jakąś tajemniczą, zaświatową mocą.

Nie zdobył monumentalizmu kolorystycznego, bo jeszcze zdobyć nie mógł, ale góruje nad wielkim Francuzem żywiołową swoją siłą, prawdziwym *furor polonicus*, tym niedającym się powtórzyć rozmachem, połączonym z bezgranicznem napięciem duchowem i niewysłowionym tragizmem. Zdobył jeszcze jedno, czego nie zna autor fresków św. Genowefy, — zdobył wyrazistość i monumentalizm światłocienia, w sile swej godną Rembrandta, choć tak odmienną. Światła i cienie uzupełniają płaszczyzny i linje, a raczej w swej kontrastowej mocy z równą przemawiają siłą. Światłocień ten, szeroko traktowany, daje w wyniku syntetyczną prostotę, stonowując wszelkie szczegóły, wszelkie cechy przypadkowe i drugorzędne. Można powiedzieć, że monumentalizm światłocienia zastępuje tu monumentalizm kolorytu.

Szczególniej uderza to i porusza w najwspanialszem dziele, w cyklu „Lithuanii".

Co za monumentalna siła jest prostocie „Przysięgi" i w „Boju"... — Im mniej jest postaci, albo im więcej je skupia i podporządkowuje całości artysta, tem wyrazistszą jest synteza monumentalna, bo tembardziej znikają wszelkie szczegóły

i wszelka przypadkowość, — zaciera się drobiazgowość naturalizmu, zmniejsza się ilość linij i płaszczyzn na rzecz ich rozmiarów i śmiałości — następuje koncentracja w kierunku jednego ruchu i jednego porywu, któremu w rytmice swojej podporządkowują się rzeczy dodatkowe, aby tylko tem więcej uwypuklić pęd zasadniczy.

Cele te osiąga Puvis de Chavannes głęboką rozwagą, jest on *pur et simple* monumentalistą z namysłu, — te same cele Grottger osiąga porywem, wybuchem natchnienia. Francuz posiada bogatszą kulturę artystyczną i lepszą szkołę, — Polak góruje genjuszem.

Naturalnie, jak u jednego, tak i u drugiego są obrazy i momenty, w których monumentalizm się załamuje i słabnie, jak np. w „Dzieciństwie św. Genowefy" lub w „Schronisku rannych" w „Polonii". W tych wypadkach realizm dochodzi do głosu przeważającego, szczegóły zaczynają odgrywać wybitniejszą rolę, — ale to nie zmienia zasadniczego charakteru twórczości. „Pierwsza ofiara" i „Zamknięcie kościołów" z „Warszawy" pozostają tem samem w sile swej prostoty, czem „Św. Genowefa, czuwająca nad Paryżem".

Powiedziałem, że Puvis de Chavannes jest świadomszy swych środków i celów, jest on bardziej nowoczesny. — Grottger jest spontanicznym monumentalistą i często, może bezwiednie, boryka się ze swemi naturalistycznemi naleciałościami i usposobieniami z lat dziecinnych, — ale tem większą wykazuje siłę.

Akademja Wiedeńska niezawodnie wielu rzeczy technicznie go nauczyła, od tej rzemieślniczej, szkolarskiej strony, — ale też wiele zawad mu nagromadziła. Przesadnie jest oceniony wpływ J. Füricha lub Schwinda, — ale drobiazgowy Geiger i wiedeńska *gemütlichkeit*, nie mające nic wspólnego z jego potężnym porywem monumentalnym, — raczej mu były zawadą, jak to widać w dwu redakcjach „Komety" do cyklu „Wojny", z nagromadzenia wdzięcznych szczegółów i drobiazgów (w redakcji pierwszej).

Słusznie zauważono, że Grottger posiada swoją muzykę, — muzyczność swych dzieł. — Tu Wiedeń mógł dodatnio wpłynąć, — ale i tu mijała już epoka wielkich mistrzów wiedeńskich i malała do rozmiarów straussowskich walców. Pewna tylko muzyczność nastrojowa płynie z sumiennie wypracowanych obrazów nauczyciela grottegorowskiego z *Meisterschule* — Rubena, i ona może mieć oddźwięk u naszego twórcy.

Ale to bardzo mało — tak, jak nawet niesamowity A. Rethel mało mógł wpłynąć.

Jako podwalina pod monumentalizm, a raczej osnowa dla niego, wysunął się akademizm pseudoklasyczny. Ale przecież sam pseudo-klasycyzm nie dał w dziejach monumentalistów, — mógł być tylko czynnikiem pomocniczym, o ile nie zdołał zabić indywidualności twórczej.

Źródła monumentalizmu Grottgera są bardzo ciekawe, — pierwiastki jego znajdują się u dwu niedoszłych lub niezupełnie doszłych artystów; u ojca Artura, Jana Józefa Grottgera i krakowskiego nauczyciela, sławnego Wojciecha Statlera. Zachowane dwie kompozycje ojca: „Korj›lan" i „Konfederaci" zapowiadają, mimo swej naiwności i drewnianości, monumentalistyczne elementy syna. Gesty, — synteza linij i brył, a w konfederatach siła spojrzenia, — to wszystko rozwinie Artur. — Statlera, suchego pedanta Grottger nie lubił, — a jednak jego nagrodzeni „Machabeusze", nie pozbawieni siły wyrazistości i jasności kompozycyjnej, również zapowiadają Grottgera i to więcej, niż „Hekuba" Reussa. — Reszty dokonały studja antyków i galerja w Burgu których ciężkie głazy stały się materjałem dla budowy olbrzyma.

Ale ostatecznie, na tle monumentalnego materjału, wykrzesać siłę właściwą genjuszowi Grottgera mógł tylko ogromny wstrząs duchowy. — Ten wstrząs narodu, który również wykrzesał moc Matejki. Piorun uderzył w duszę, nasyconą roztworami uczuć i wyobraźni, zasobami nagromadzonemi wieloletnią pracą i dzieła skrystalizowały się z błyskawiczną szybkością. — Bo ile długie było i niepewne w wynikach przygotowanie lat nauki i studjów, o tyle sześcioletni okres twórczości był obfity w dzieła na miarę przełomu w dziejach sztuki.

Grottger w swym monumentalnym tragizmie jest dziełem okresu powstaniowego — dziełem tragizmu narodowego.

Matejko miał następców i ma ich do dziś dnia. Grottger ze względu na swe artystyczne właściwości pozostał samotny. — Bo to jest los wszystkich monumentalistów.

A. SZRENIAWA-CZERNIEWSKI

Z KSIĘGI PRAW KONIECZNYCH

ODLOT

Próżna tęsknoty straszna praca,
Na jej omglony szlak
Nie wraca nigdy już, nie wraca,
Szczęścia stracony ptak.

Gdy jeszcze złotem dni się mienią,
Fatalna siła gna,
Zanim zabarwisz się czerwienią,
Głaz, sięgający dna —

Stracony ptaku, który lecisz
Gdzieś za daleki bór —
Nigdy tu blaskiem nie zaświecisz
Wiosennych, świeżych piór.

Daremno dolę lepszą gonisz
Złudą pewnego dnia...
Żałosny ptaku, co się chronisz
Próżno — jak wy, jak ja.

TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

NA WIDOWNI

O skrzydłach i silniku moralnym. — *Challenge* w Genewie i praca w kraju. — Szkoła samorządu i moralności publicznej. — Czy nie przydałyby się rekolekcje? — Walka liberalizmu z „immunitetem" narodowym polskim. — Trzeba dorastać do swych skrzydeł.

BRAŁEM udział w międzynarodowym popisie lotniczym, jako czytelnik dzienników... I to wiele, jak na człowieka przedwojennego, nie umiejącego nadążyć wyobraźnią za rozwojem nowoczesnej techniki i psychiki sportowej. Nie mogę też długo patrzeć w słońce. Poznałem gruntownie sprawę w drodze do Zielonki, ponieważ miałem w wagonie za towarzyszy uczniaków, wracających ze szkoły do domu. Jeden z nich, trzymając zeszyt na ścianie i śliniąc ołówek, długo pracował nad jakiemś zadaniem arytmetycznem: obliczał — jak się pokazało — szanse Bajana. Mówiło się tylko o tem i wielu rzeczy się dowiedziałem; nadewszystko uderzyło mnie, że ci chłopcy mówią o powietrzu, jak ptaki, jakby się porodzili na drzewach.

Entuzjazm ludności warszawskiej w dniu rozgrywki *challenge*'u miał znacznie wyższą temperaturę, niż poprzednio przy podobnych okazjach. Całe społeczeństwo bierze już — jak widzę — udział w lotach powietrznych. Nie mówiąc o dawniejszych zasługach, takie osobistości, jak Żwirko, Wigura, Skarzyński, bracia Adamowicze, Jerzy Bajan, Stanisław Płonczyński — to znaki wytyczne na drodze do podboju świata przez Polskę. Polska uskrzydlona!

Szybkie zachodzą zmiany w pojęciach tego uskrzydlenia. Mickiewicz — jak teraz przypomniano — doskonale sobie wyobrażał możliwość przyszłego rozwoju lotnictwa, ale sekret uskrzydlenia narodu, nawet panowania jego nad światem, upatrywał w polocie jego mesjanicznym. Z tych natchnień dziejotwórczych — gdyby wszystko inne miało być tylko poezją, pozostanie na zawsze prawda o s i l n i k u m o r a l n y m, niezbędnym narodowi na każdym kroku. Naród ma zawsze skrzydła, chociaż nieraz skrępowanemi powłóczy, ale najgorzej z tym silnikiem moralności publicznej.

Każdego chyba to zastanawia, że istnieje dysproporcja między rozwojem techniki i pojęć moralnych. Na co się narodowi przydadzą mechaniczne skrzydła, jeśli nie będzie miał dostatecznych sił moralnych do dysponowania niemi?

— — — — — — — — — — — — —

Największym statkiem, jakim rozporządzamy do swego lotu dziejowego, jest nasze państwo z silnikiem Narodu, podlegającym ciągłemu doskonaleniu w kierunku zarówno napięcia sił moralnych, jak i napięcia świadomości dziejowej. Konstrukcja nowożytna tego silnika, pozostająca pod strażą twórczych Wigurów, polega na systemie komór, jak parlament, samorządy, stronnictwa i inne instytucje. Paliwem duch narodowy. Statek RP bierze stale udział w jakimś *challenge*'u. Oto teraz rozgrywa się taki w Genewie. Nie będę jednak zajmował się tutaj wielką polityką. Przyglądam się teraz ewolucjom brawurowym mniejszego statku, którego miano: samorząd Warszawy.

Skupiają one na sobie uwagę całego kraju, bo przecież opinji polskiej więcej zależy na powadze Warszawy, niż dajmy na to Kołomyi. Z każdego czynu, przedstawiającego pewną doniosłość w życiu publicznem, łatwo wywnioskować, jakie mu towarzyszą zasady. O gatunek chodzi materjału moralnego i kulturalnego. Nie wchodzę w genezę tej przemiany, jaka zaszła w zarządzie Warszawy, że z samorządnego stał się nagle rządem jednostki. Odpadł czynnik współpracy społecznej, więc i opinja publiczna od tego terenu odsunięta. Dawniej było zgryzotą dzienników, że zamało dają dowodów interesowania się sprawami miejskiemi, obecnie zbytnie zainteresowanie jest źle widziane. Czy to postęp?

Tymczasowy prezydent p. Starzyński nie pozwolił instytucjom miejskim udzielać prasie informacyj, natomiast zaprosił do siebie w dn. 20 b. m. przedstawicieli prasy polskiej i żydowskiej, aby się z nimi podzielić swojem oburzeniem na to wszystko, co było dawniej w zarządzie Warszawy przy Radzie miejskiej i prezydencie z wyborów, p. Z. Słomińskim. Wyrazy takie, jak: nadużycia, trwonienie grosza, niechlujstwo, chaos, nepotyzm padały jak grad, tak samo, jak w r. 1926 przy instalowaniu się „sanacji" w państwie, kiedy zapowiadano wypalanie gorącem żelazem nieprawości. Nikomu jednak nie zdołano procesu wytoczyć. To samo będzie tutaj, ale jakże niepokojący ze stanowiska obyczajowego jest taki wstęp do roboty, która nie wiadomo jeszcze jak wypadnie, obniżający pracę poprzednią. Wyobraźmy sobie, jaką byłoby sensacją, gdyby w Akademji Francuskiej nowy akademik potraktował w ten sposób swego poprzednika. W tym wypadku takie podniesienie swojej cnoty kosztem cudzej jest tem drastyczniejsze, że wskutek braku jawności działania nie będziemy mogli tych cnót porównywać.

Dzień po dniu czytamy w „Gazecie Warszawskiej" takie doniesienia:

„Jak wynika z *exposé* p. Starzyńskiego, jednym z największych jego kłopotów są sprawy emerytalne. Wiadomo-że w związku z masowemi rugami pracowników miejskich, przeprowadzanemi przez p.p. komisarzy, wydatki na emerytury niepomiernie wzrastają. Wobec tego p. Starzyński wpadł na oryginalny pomysł oszczędności w emeryturach. Zaleca on mianowicie powoływanie niektórych emerytów miejskich z powrotem do służby czynnej, a następnie wytaczanie im postępowania dyscyplinarnego, któreby doprowadziło do ich ponownej dymisji — tym razem już bez emerytury".

Zapewne, jest nad czem pomyśleć, skoro emerytury wynoszą rocznie już 11 miljonów złotych, pomimo że dawny zarząd grzeszył jakoby tolerancją i urzędników nie usuwał. Ale zastanowić musi poważnie sposób zabierania się do rzeczy gospodarczej: naprzód rzucanie tak rozgłośne oskarżeń dla umotywowania rugów, a potem tak przykry pod względem moralnym sposób robienia oszczędności! Naturę tego zjawiska kultury tłumaczą nam fakty takie, jak poniższy, przytoczony w notatce „Gazety Warszawskiej":

„Rozmach reformatorski p. Starzyńskiego sięgnął nawet do życia religijnego pracowników miejskich stolicy. I tak na jednem z zebrań dyrektorów, które to zebrania zastępują obecnie dawne obrady magistratu warszawskiego, wytknął p. Starzyński bardzo ostro dyrektorowi wodociągów inż. Rabczewskiemu, że zajął się on urządzeniem rekolekcyj dla pracowników wodociągów i kanalizacji, co nie leżało w zakresie jego urzędowania. W związku z tem polecił p. Starzyński potrącić z pensji inż. Rabczewskiego sumę kilkunastu zł., wydaną na druk zawiadomień o mających się odbyć rekolekcjach".

Zapewne, dla skrzętnego gospodarza kilkanaście złotych to także pieniądz, ale z drugiej strony, czy nie był to wydatek produkcyjny? Sko-

ro p. Starzyński tak głośno ubolewa nad złym stanem moralności pracowników miejskich, czy nie dobrze byłoby, gdyby pocichu zezwolił na danie obsługi duchowej masom pracowników. Nie o poziom moralności pracowników chodziło p. Starzyńskiemu, lecz o usprawiedliwienie rugów na wyższych stanowiskach. To też dotknięty temi aluzjami b. prezydent Z. Słomiński obszernie i z godnością odparł je w „Kurjerze Warszawskim" (nr. 259 i 260), a wywody swoje zakończył słowami:

„Dziś każdy boi się odezwać w obronie dawnego magistratu, aby nie stanąć w obronie „przestępców". Opinja publiczna milczy, oszołomiona zarzutami — sądzę jednak, że wreszcie przemówi. I dlatego, nie dyskutując z nikim, szczerze i otwarcie podałem do wiadomości ogółu obywateli nasze poczynania i posunięcia, mając tę nadzieję, że przyczynią się one do oczyszczenia atmosfery i uzdrowienia tych stosunków, w jakich, niestety, nie można nietylko nic budować i twórczo pracować, lecz nawet wegetować".

— — — — — — — — — — — —

Chodzi istotnie o oczyszczenie atmosfery. Ale z kim tu o tych rzeczach gadać? Sprawy moralności, dobrego obyczaju, taktu i godności dostępne są obecnie wśród sfer oświeconych tylko tym, którzy zachowali w duszy styl narodowy; stosunkowo łatwiej porozumiewać się co do nich w środowisku ludowem. Poczciwe z natury, ale miękie w charakterze społeczeństwo psuje się, dziczejąc moralnie. Rzecz charakterystyczna, jak to dziczenie powojenne rozkłada pojęcia prawne, a nawet zmysł polityczny warstwy oświeconej wśród t. zw. konserwatystów. Przeczytajmy np. co taki sanator, b. wojewoda, p. Dunin-Borkowski wypisuje w pisemku lwowskiem z powodu Berezy Kartuskiej:

„Liberalnie nastrojeni ludzie" — pisze p. B. — „mogą nad tem (ustanowieniem Berezy i t. p.) ubolewać, dziwi jednak, gdy to robią członkowie obozu narodowego, w obecnej chwili tak bardzo antywolnościowo nastawieni. Na chłód publiczności wobec Berezy wpływa bezsprzecznie stanowisko obozu narodowego. Daje ono poznać, że właściwie uważa obozy koncentracyjne za zupełnie wskazane dla komunistów i mniejszości narodowych, za niedopuszczalne zaś dla lokowania w nich ich zwolenników. Otóż trudno komuś nieuprzedzonemu zrozumieć, dlaczego tak wyjątkowa bezkarność miałaby być obozowi narodowemu i jego secesjonistom przyznana. Słusznie bowiem mogliby sanatorzy powiedzieć, że właśnie wichrzenia narodowości panującej z natury rzeczy są najniebezpieczniejsze. Ta podwójna buchalterja narodowców wypływa zdaje się z zakorzenionych pojęć o immunitecie, jaki daje tak zwany patentowany patrjotyzm, pod pokrywką którego winno być wszystko jego wyznawcom dozwolone".

Mamy tutaj całe oblicze moralne tej grupy, wychowującej społeczeństwo. Sami tworzą instytucję, której nie mogą ani prawnie, ani politycznie umotywować, a potem przypisują jej ducha „antywolnościowemu" obozowi narodowemu, jakby ten obóz pochwalał kiedykolwiek pomijanie norm prawnych w działaniu politycznem. I jak lekko się tutaj mówi o „wichrzeniach narodowości panującej" i o patrjotyzmie! Tak, jakby walka tej „narodowości" o prawo i wolność była tylko wichrzeniem i nie ona doprowadziła do niepodległości i jakby ta niepodległość dała się utrzymać wogóle bez stałej walki wewnętrznej o prawo i dobro narodu! Na cynizm dowcipów politycznych p. Borkowskiego złożyła się krótka, ale intensywna szkoła nieprawowości, wśród których niemałą rolę odegrała praktyka z przywłaszczeniem „Słowa Polskiego", z żebraniem subsydjów, zmarnowaniem pięknej placówki i bankructwem politycznem.

Patrjotyzm, według pojęć tych ludzi, nie daje nikomu immunitetu politycznego. Ale lepiej bez tej osłony pracować nad dobrem narodu w opozycji, niż uciekać pod immunitet moralny. Konserwatyści zatracili swoje stronnictwo, tradycje i cele w nurtach „Sanacji", a dziś stają jeden po drugim przed kratkami sądowemi. Chodzenie po linie bez siatki bezpieczeństwa jest ryzykowne. Ludzie sprytni stają się teraz na gwałt liberałami, konserwatyści bowiem tracą swój „immunitet".

Tak to z zatratą moralności idzie w parze zatrata sił twórczych i politycznych.

— — — — — — — — — — — —

Idea tylko może naród uskrzydlić. To, co przeżywamy w dni świąt lotnictwa — to upojenie techniką i temperamentem. Istnieją w narodzie dane objektywne wielkości. Na tem wiele można budować, ale kto będzie i z czego budował, jeśli wszystko, co jest ideą, zasadą pionu moralnego, zmarnujemy? Trzeba dorosnąć do skrzydeł, które Bóg daje.

Temperament bohaterski, talenty, nawet patrjotyzm uczuciowy są darami przyrody. Z tego trzeba umieć coś zrobić, nie marnotrawiąc bogactw. Prace kulturalne we wszystkich dziedzinach muszą mieć na celu jedno: — wytworzenie z duszy narodu niespożytego silnika moralnego.

Prócz Żwirków potrzebni są Wigurowie polityczni.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

TRIUMFY DYPLOMACJI POLSKIEJ W GENEWIE mile połaskotały próżność — chcieliśmy napisać „narodową" — próżność państwową niektórych publicystów. W zadowoleniu tem, niestety, zbyt dużo jest... mikromanji. Jako pierwszorzędny sukces podaje się już to, że... po raz pierwszy „zmusiliśmy" inne państwa do rozmawiania z nami na obchodzący nas temat spraw „mniejszości". Okazuje się z tych głosów, że może nas wbijać w dumę, iż ktoś wogóle raczy nam odpowiadać... „Dzięki zdecydowanemu stanowisku ministra Becka" — pisze „Gazeta Polska" — „wielkie mocarstwa nie mogły nadal uchylać się od..." — wyrażenia zgody na tezę polską? — nie: — od dyskusji". Polska narzuciła delegatom obcym — nie poglądy swoje wprawdzie, ale to, że „musieli mówić o treści zagadnienia..." Jakież to mocarstwowe!...

Doprawdy, nie przemawia ze szpalt „Gazety Polskiej" nadmierna zarozumiałość... Co myśleć przytem o umiejętności i *prestige*'u dyplomacji, z którą nikt przez długie lata nie chciał na ten temat nawet podjąć rozmowy serjo? Jako sukces nasz w pewnych głosach prasy przedstawiano nawet to, że w komisji politycznej przeszła propozycja... p. de Madariagi, aby delegat polski wniosek swój o generalizację traktatów dobrowolnie wycofał. Tak się też stało. „Przebieg dyskusji w komisji politycznej jest bezsprzecznie zwycięstwem tezy polskiej" — doniosła jednak agencja „Iskra". Komentarze tego rodzaju, nie licząc się z rzeczywistością, wprowadzają w błąd opinję publiczną i zaciemniają istotny stan rzeczy. Sukces, jaki odnieśliśmy w Genewie, nie jest bowiem suk-

cesem dyplomatycznym. Nie byłby ani odrobinę mniejszy, gdyby wogóle nie wprawiono w ruch maszynerji dyplomatycznej. Polega wyłącznie na tem, że przedstawiciel Polski zadeklarował z polecenia kierownika jej oficjalnej polityki stanowisko jej co do „traktatów o mniejszościach". Oświadczenie to było jednostronnym wyrazem woli. W części deklarującej, że Polska nie czuje się związana powyższemi traktatami, było niewątpliwie wyrazem uczuć całego społeczeństwa. Ale, jako jednostronna deklaracja, nie licząca się ze zdaniem innych, z natury rzeczy nie miało nic wspólnego z pracą dyplomatyczną. Jest to sukces nie w tej dziedzinie, w jakiej odnosi swoje sukcesy dyplomacja. Nic nie może nam odtąd przeszkodzić w ignorowaniu skarg, zanoszonych przeciw nam przez t. zw. dawniej „mniejszości" do Ligi Narodów. Ale nie jest to w najmniejszym stopniu zasługą naszego M. S. Z. Ze stanowiska swego Polska nie zejdzie, niezależnie od tego, czy znajdzie dla motywów swej polityki zrozumienie u państw innych, czy nie. Ale metodom naszej dyplomacji przypisać należy, że krok polski nie spotkał się zgoła na Zgromadzeniu Ligi ze zrozumieniem, z jakiem mógł się spotkać, że nie miał dla siebie przygotowanego gruntu, i że najbardziej zaskoczył... sojuszników.

LOSY WNIOSKU POLSKIEGO O GENERALIZACJĘ TRAKTATÓW „MNIEJSZOŚCIOWYCH" wskazują, że przeceniono siłę żydów na terenie międzynarodowym. Okazała to sama dyskusja, w której niepokój o żydów nie grał większej roli. Niedawno jeszcze w kołach sanacyjnych uważano, że Polskę wogóle nie stać na odważniejszą inicjatywę co do wyzwolenia od międzynarodowej kontroli w tym zakresie. Odważniejsi uważali, że najskuteczniejszą taktyką będzie wniosek o generalizację, jako nie obrażający jawnie interesów głównych autorów „traktatów mniejszościowych"—żydów. Bardziej szczerego postawienia sprawy na *forum* międzynarodowem nikt w obozie „sanacji" nie śmiał się domagać. Przyszło ono dla ludzi tego obozu zupełnie nieoczekiwanie.

Żądanie, żeby Polska uwolniła się z więzów „traktatów o mniejszościach", wyrażone było jednak oddawna przez całą, niezależnie myślącą część polskiego społeczeństwa. Ten postulat był więc oddawna przemyślany i ugruntowany w opinji. Ale nie był nim wcale postulat drugi, żeby „traktaty o mniejszościach" jakoś „ulepszyć" i rozciągnąć na wszystkie państwa. „Zwracam się dziś do Zgromadzenia z gorącym apelem,"—mówił minister Beck — „żądając naprawienia błędów przeszłości i stworzenia zdrowej, sprawiedliwej i mocnej podstawy, na której musimy zbudować nowy system międzynarodowej ochrony mniejszości". Formułując tak stanowczo tę część swego alternatywnego żądania, minister nie miał bynajmniej za sobą opinji społeczeństwa. Delegaci Kanady i Australji, słysząc tę propozycję, z prostodusznością ludzi Nowego Świata zdziwili się, że to, co było fiaskiem w części Europy, miałoby się stać dobroczynnym systemem, obejmującym całą ziemię. Korespondent genewski „Gazety Polskiej" próbuje tłumaczyć, że chodziło o coś innego, że „wyraźnie była mowa o nowym, lepszym systemie ochrony mniejszości, któryby nie miał tych licznych wad, jakie posiada system obecny".

Trafniejsza jednak, niż to tłumaczenie żydka-korespondenta, była prosta orjentacja ludzi z Nowego Świata. Bo w istocie każdy międzynarodowy system ochrony musi być oparty na umożliwieniu obcej ingerencji i kontroli; inaczej nie byłby międzynarodowy. Kto — jak rzeczony korespondent—przypuszcza, że przedewszystkiem „wadą decydującą" systemu obecnego był „brak powszechności"—nie rozumie poprostu zagadnienia, ani momentu, gdzie wchodzi w grę kwestja godności narodowej. Tłem było przedewszystkiem to, że system ochrony „mniejszości" był międzynarodowy, że umożliwiał jednym państwom wtrącanie się do drażliwych spraw wewnętrznych państw innych — i to zło nie zniknęłoby, gdyby chcieć system „uzdrowić" — przez uczynienie go więcej międzynarodowym.

PROJEKT ZAMIANY BB na PP jest podobno chwilowo odłożony. Jeszcze się więc i tym razem udało załatać dziurę. Nic nie szkodzi, że w sposób wysoce tandetny, wszak cała struktura bloku, od samego początku nie nosiła znamienia solidności. Już to bowiem trzeba przyznać, że idea „współpracy" daje przykłady niemożliwe na każdej innej „płaszczyźnie" poza BB. „Legjon Młodych" odzywa się o swych starszych kolegach (tak, starszych kolegach) konserwatystach w sposób bardzo daleki od kurtuazji, zapełniając jednocześnie zapobiegliwie kasy swoich organów pieniędzmi, płynącemi z masowych wprost ogłoszeń rozmaitego rodzaju przedsiębiorstw, należących do tych, którym, powiedzmy prawdę, pospolicie wymyśla. Czyżby młodzi, fanatyczni zwolennicy planowej gospodarki mieli u siebie aż taki nieporządek, iż nie wie redakcja, co czyni administracja? A może jednak jest to tylko prosta konsekwencja owego zakłamania, które było u początku?...

Z drugiej znowuż strony konserwatyści ostro karcą „ruch młodolegjonowy", oskarżając go o najzwyczajniejszy komunizm, a jednocześnie zasilają organy tego „ruchu" w wyżej wspomniany sposób, przyczyniając się tem samem wydatnie do możliwości szerzenia propagandy, którą niedwuznacznie i zdecydowanie potępiają.

Wszystko to świadczy dobitnie o stosunkach, panujących wewnątrz tej grupy, która ma być fundamentem, wzorem i przykładem. Dlatego też spoistość jej stoi pod dużym znakiem zapytania, mimo oficjalnych zapewnień, że nadal jest wszystko w porządku, jaknajlepszej zgodzie, pełne ciągłego entuzjazmu, mocne, zwarte i karne. Bagatelizująco traktuje się przykłady, świadczące o czemś zupełnie innem: „Czyż można poważnie brać pod uwagę i t. d., wszak to pisze przecież młodzież...", lub „Czyż można poważnie brać pod uwagę..., wszak to piszą przecież konserwatyści..." Oficjalny komunikat, powtarzamy, jak to oficjalny — nikt mu poprostu nie wierzy.

Na tem tle odłam zachowawczy znajduje się doprawdy w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Poprostu, jak to się mówi, między młotem a kowadłem, zwłaszcza, że tu nie chodzi już o pozycję w bloku, ale o dalszą możliwość istnienia. Z bystrością, której na podstawie całej, długoletniej działalności trudno nie podziwiać, konstatuje np. „Czas", że w czasach dzisiejszych oparcie w masach można znaleźć albo demagogją o charakterze skrajnie

radykalnym, albo hasłami antyżydowskiemi, przyczem stwierdza, że te drugie o wiele mocniejszy znajdują oddźwięk. Spostrzeżenie częściowo trafne, chociaż jednocześnie niezmiernie płytkie, gdyż niebywałego wprost wzrostu politycznego uświadomienia narodowego nie sposób tłumaczyć jedynie podłożem negatywnem. Nie o to wszakże tym razem chodzi. Konserwatyści widząc, że każde, jakiekolwiek oparcie w masach nie idzie po linji ich interesów (wyraźnie: interesów), nie wahają się w imię klasowej pozycji żądać dalszego „ograniczenia demokracji".

I tu może dotarliśmy do źródła tego spoiwa, które pozwala na ciągłe lepienie dziur w rozpadającym się bloku. Jest niem, czy to chodzi o prawe, czy o lewe jego skrzydło, niemożliwość spojrzenia z innego, jak tylko wyłącznie klasowego stanowiska. Daje to w sumie zrozumiały i konsekwentny obraz obrony swoich własnych interesów, pod pięknym płaszczykiem wzorowej i przykładnej pracy dla państwa.

Klasowość polityki grup, wchodzących w skład B.B., przypominająca tak żywo czasy „partyjnictwa", jest jeszcze jednym dowodem anachronizmu rządzącego „systemu". Nic też dziwnego, że utrzymuje się on przy życiu jedynie starym, znanym galicyjskim zachowawcom systemem: „od wypadku do wypadku", z dnia na dzień... Dlatego też pozytywną stronę tego wszystkiego oglądamy dosłownie codziennie...

II MIĘDZYNARODOWY ZJAZD SLAWISTÓW

DRUGI z kolei po praskim Zjazd Slawistów całego świata odbywa się w tygodniu od 23—30 b. m. w Warszawie i Krakowie. Zjazd tegoroczny odbywa się pod hasłem uczczenia jednego z największych duchów słowiańskich i idealnej wspólnoty narodów słowiańskich głosiciela — Adama Mickiewicza, w stulecie wydania „Pana Tadeusza", jak poprzedni Zjazd poświęcono pamięci ojca filologji słowiańskiej, Jana Dobrowskiego. Obecny Zjazd należy do wyjątkowo licznych i imponująco bogatych w treść: ponad 400 uczonych obraduje w kilkunastu sekcjach językoznawczych, literackich, archeologicznych, etnologicznych, poświęconych sztuce etc. W liczbie 200 slawistów z poza Polski znajdują się Czesi, Słowacy, Jugosłowianie, Bułgarzy, Ukraińcy, Rosjanie, Rumuni, Niemcy, Francuzi, Włosi, Szwajcarzy, Holendrzy, Skandynawowie, Amerykanie. Dnia 23 b. m. odbyło się otwarcie Zjazdu w Politechnice warszawskiej, gdzie mają miejsce wszystkie warszawskie obrady. Inauguracyjne zebranie otworzył nestor slawistów europejskich, znakomity uczony, prof. Jan Rozwadowski z Krakowa. Po przemówieniach przedstawicieli rządu i m. Warszawy, prof. Murko, przewodniczący poprzedniego Zjazdu w Pradze, imieniem delegacyj wszystkich narodów przybyłych na Zjazd, wygłosił przemówienie w języku czeskim, francuskim i polskim, przyczem szczegółowo zajął się polską tradycją słowianoznawczą. Po informacjach sekretarza Zjazdu, prof. Doroszewskiego, chór akademicki odśpiewał „Bogurodzicę", tym hymnem cudownym kończąc zebranie plenarne. Dalsze obrady odbywają się w sekcjach. W związku ze Zjazdem otworzono w Warszawie trzy wystawy: starych druków polskich w Bibljotece Narodowej, książki slawistyczniej polskiej w Politechnice i dzieł przysłanych przez praski „*Slovansky ustaw*" tamże.

Zebranie główne plenarne, poświęcone Mickiewiczowi, odbędzie się w Krakowie, gdzie obok przedstawicieli państw słowiańskich przemówi Paul Cazin i najlepszy znawca Mickiewicza, prof. Pigoń. Uczestnicy Zjazdu złożą wieniec na grobie Mickiewicza w krypcie wawelskiej.

J. B.

NAUKA i LITERATURA

„ORLĘTA"

OD KILKU LAT lat wychodzi w Poznaniu miesięcznik młodzieży szkolnej p. t. „Orlęta". Już sam tytuł mówi wiele — wskazuje na świat, do którego wkraczamy, biorąc pismo do ręki. I niema w tem nic z frazesu. Sięgnijmy tylko myślą wstecz, do nigdy niezapomnianej obrony Lwowa. Tam zobaczymy pierwszy krok, który postawiła młodzież w Polsce, ta najmłodsza, która wprost po zdemobilizowaniu poszła z powrotem pod rozkaz „belfrów" na dolę (piątki) i niedolę (dwójki) sztubacką, zdobyte laury zasuszając starannie w zielniku szkolnym.

To też Lwów jest legitymacją naszej młodzieży, jest jej dumą i ambicją. Należy się nad tem dobrze zastanowić. Bo dzisiaj kult Ojczyzny, gotowość do złożenia Jej największych ofiar, nie wyłączając życia, zwalcza się mieszaniną najrozmaitszych pojęć, nanoszonych ze wszystkich stron. Dużo w niej jest „zdobyczy" Rosji sowieckiej, dużo resztek liberalno-humanitarnych *made in* Genewa, czy Paryż, bardzo wiele odgłosów rewolucji hitlerowskiej. Kto nie wierzy, niechaj weźmie do ręki „Kuźnię Młodych", a przekona się naocznie. I zaniepokoi się o los dziecka. O los dziecka i... państwa, w imię którego tak właśnie wychowuje się młodzież. Kto mądry, niechaj zrozumie konsekwencję w kształceniu dobrego obywatela, a więc i żołnierza, wraz z propagandą pacyfizmu! Wzruszamy ramionami, prawda, ale to nie wystarczy.

Miesięcznik „Orlęta" reprezentuje tę młodzież, która nie jest zdolna do łamańców ideowych, kocha Polskę, mówi o tem z całą szczerością i powagą, są to bowiem słowa święte. Stąd może zbyt poważny charakter pisma. Tak, zbyt poważny, bo dziecko musi się śmiać. Gdy wpada, chociażby skutkiem nieumiejętności wysłowienia się, w mimowolny patos, zdajemy sobie sprawę, iż nie z wyżyn jakichś koturnów dochodzi nas głos, ale naprawdę stamtąd, gdzie istotnie wyżej, aniżeli tu, gdzie my chodzimy. Ale, mimo wszystko, musi się śmiać. To też troska nas ogarnia, gdy u młodych nie widzimy uśmiechu. Nie wystarcza jednak tylko skonstatowanie, że rozumiemy wszystko. Należy reagować.

Karty obszernego pisma mówią nam wiele. Ukazują swoich czytelników, a zarazem i współpracowników, ich zainteresowania, dążenia i cele, a więc całą wartość. I tem są ciekawe nietylko dla tych, którym są przeznaczone, ale również i dla wszystkich.

Z dużem zadowoleniem należy stwierdzić, że sprawy kulturalne zajmują tam wyraźnie miejsce dominujące. Im to miesięcznik poświęca specjalny dział p. t. „Życie kulturalne", zawierający recenzje pism i książek, przedstawień teatralnych, wystaw i koncertów. Poziom wysoki. Gorzej już redagowany jest dział poświęcony życiu młodzieży. Zamało w nim nerwu i tętna życia, zamało atrakcyj, któreby ściągały zainteresowania, zamało wreszcie zwierciadła tego wszystkiego, co się wokół każdego dzieje, a przecież życie współczesnej szkoły nie kończy się na godzinach lekcyj i... aka-

demij „ku czci" i t. d., ale pochłania cały dzień młodzieży, a przedewszystkiem nią samą. Wszystko to powinno być tu pokazane, omawiane, dyskutowane. Jako przykład przytoczę np. kwestję sportu, któremu młodzież tak wiele poświęca czasu. Jest przecież o czem pogadać, i to szeroko. Nie można stać na nieubłaganem stanowisku wyłącznej „uprawy ducha"; należy walczyć nie ze sportem, który daje nam zdrowie fizyczne, ale ze sportomanją, owem ślęczeniem nad pismami w poszukiwaniu wyników zawodów, uczestnictwem w nich, w charakterze widza, słowem trzeba wybić sport z głowy, a wpędzić do mięśni.

Na tem tle zignorowania sprawy wychowania fizycznego nic nie mówią „Orlęta" o tak ciekawej i pożytecznej instytucji, jaką jest przysposobienie wojskowe. A przecież winno być ono i jest w rzeczywistości ośrodkiem wielkiego zainteresowania młodych.

Słabo, przyznać trzeba, wyglądają próby poetyckie, niewiele wykraczające poza łatwą lirykę. Nie widać np. trudu napisania wiersza o charakterze epickim. Aż dziwnie, że młodzież jest tak leniwa i że przedmiotem największych jej wzruszeń jest ona sama, zaprawiona mdłym sentymencikiem.

Całość pisma jednak bardzo ciekawa, godna bliższego poznania i zainteresowania, zwłaszcza, że ze strony redakcji podjęta jest obecnie praca, mająca na celu zaspokojenie wszystkich wymagań, tak, że to już dzisiaj bezsprzecznie najciekawsze i na najwyższym poziomie stojące pismo młodzieży szkolnej, stanie się dosłownie wzorowym perjodykiem tego rodzaju. Należy jeszcze tylko zwrócić uwagę na jedno: zrozumiały jest i godny pochwały górny ton pisma, strzedz się jednak należy, ażeby nie stracić prostoty, jednego z najcenniejszych przymiotów. Trzeba to bowiem sobie uprzytomnić, że szkoła dzisiejsza aż przepełniona jest frazeologją, która, nibyto, ma mieć niesłychane wartości wychowawcze. Przyznajmy nawet, że jest w tem wiele racji, tylko, że słowo „niesłychane" zinterpretujemy tak, jak należy. Dlatego też przejaw tak rzetelnej pracy, jakim są „Orlęta" bić musi mocno, zdecydowanie w tę czczą i pustą gadaninę, samemu jednocześnie nie dając nawet pozorów jakiejś deklamacji. Tem cenniejszą stanie się wówczas pozycją. W. N.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Z wielu stron otrzymujemy podziękowania za artykuły treści historycznej, które systematycznie zamieszczamy w celu uregulowania świadomości co do punktu dziejowego, w jakim Polska dzisiaj się znajduje w rozwoju swoich stosunków wewnętrznych i zewnętrznych. Szczególne zainteresowanie wywołały artykuły pp. St. Didiera i Karola Frycza, których serje jeszcze nie są ukończone. Obecnie otrzymujemy list od osoby, zajmującej wybitne stanowisko w hierarchji kościelnej, w którym autor pisze:

> „Artykuły Stanisława Didiera w „Myśli Narodowej", dotyczące działalności żydostwa w przeszłości naszej, tak są ciekawe i tak częstokroć rewelacyjne, że ze wszech miar zasługują na to, aby wyszły w osobnej książce"...

Miło nam donieść, że przewidując to, zarządziliśmy odbitkę tej pracy w większej ilości egzemplarzy. W ten sposób powstanie książka, która niebawem ukaże się w księgarniach, jak tylko artykuły będą wykończone.

Z artykułów p. Frycza, niestety, nie robiliśmy osobnego odbicia. Autor radby znaleźć na nie nakładcę.

*

Czytelnicy „Myśli Narodowej" pamiętają pewno dobrze wrażenie, jakie na nich zrobiły z talentem pisane artykuły Michała Pawlikowskiego. Autor wydał teraz książkę pt. „Okna" jako jedno z wydawnictw Bibljoteki Medyckiej (Medyka 1934). Weszły do tej książki szkice: „Zwierzenia poety", „O Maryli Wolskiej", „Wspominki o Kasprowiczu", „Lektura „Króla Ducha", oraz serja szkiców o istocie kultury narodowej. Są to wszystko rzeczy o rozległym horyzoncie literacko - artystycznym i niezmiernie interesujące.

Książkę Pawlikowskiego nabywać można w każdej księgarni. Na składzie głównym jest w Domu Książki Polskiej.

Wydana starannie, kosztuje tylko 2 zł.

FILM

APOLLO: „ I cóż dalej, szary człowieku?". Reżyser Frank Borzage.

Ten film ma dwie główne, bardzo ważne zalety. Jedną jest zarysowanie typów osób działających, sytuacyj, tła, w sposób żywy i świeży, nie według gotowych recept hollywoodzkich; drugą — atmosfera całości utworu, czysta i rzetelna, dzięki której film nie pozostawia w nas osadu pesymizmu, choć treść nastraja raczej niewesoło. Poraz pierwszy, o ile się nie mylę, oglądamy na ekranie dzieje bezrobotnego, to właśnie dowód, jak często i beztrosko odwraca się film od życia i jego zagadnień. W takiej sytuacji oryginalnym staje się pomysł zwrócenia uwagi na jego zwykłe, codzienne sprawy. Kłopoty, smutki i radości, bliskie nam, najbliższe.

Tu mamy dzieje, dzień po dniu, młodego subjekta i jego żony. Subjekt tkwi na posadkach prywatnych, przed nim stale widmo utraty pracy; gdy ją ma, musi nieraz znosić szereg upokorzeń ze strony chlebodawców, gorycz poniżeń i przeróżnych grubijaństw, gdy traci zarobek, jest jeszcze gorzej. A tak im mało potrzeba, są młodzi, cieszy ich byle co, są jak dzieci.

Należy uznać za trafne posunięcie reżysera i to mu zapisać na dobro, że nie pokazał zmagań z życiem człowieka samotnego, a przeciwnie, zaznaczył, że miłość do żony i przyszłego dziecka (rodziny) pomogła mu znosić przeciwności życiowe i dała cel, dla którego nie wyszedł z szeregów gromady społecznej. Natomiast jedna rzecz uderza w tym filmie: ukazano nam całe życie człowieka, bez fałszu i upiększeń, a na przestrzeni utworu niema ani jednej sceny, któraby nam ujawniała stosunek młodego Janka Pinneberga (subjekta) do religji. Mamy prawo tego wymagać, ponieważ poruszono tu wszelkie sprawy ludzkie. Nie powiedziano wcale, że młodzi, to ateusze; w ciągu filmu widzimy ich w rozmaitych sytuacjach i nigdy nie odczuwają potrzeby zwrócenia się do Boga, chociaż wiele okoliczności nieraz mogło młodą parę do tego skłaniać. Nie widzimy nawet stosunku negatywnego, to znaczy złorzeczenia Mu, w chwilach upadku duchowego, pod wpływem ciosów życia. Sprawy te zostały usunięte niesłusznie poza nawias filmu, bądź co bądź poważnego w swych założeniach.

Możnaby wiele dobrego powiedzieć o reżyserji znakomitego artysty ekranu, Borzage'a, lecz w tym wypadku wydaje mi się to niecelowe, gdyż tu chwyty reżyserji nie są popisem samym dla siebie, rodzynkiem filmu, a środkiem ku lapidarniejszemu uwydatnieniu treści. Trzeba zaznaczyć tylko doskonałą umiejętność stawiania kilku pociągnięciami sylwetki ludzkiej i zarysowaną subtelnie galerję różnorodnych charakterów. Sympatja widza jest po stronie młodej pary, lecz tu należy powiedzieć, iż reżyser zrobił sobie pewne ułatwienie. Oboje są przystojni i najdzwyczaj mili. Może to właśnie, w połowie, zniewala ku nim widza.

Fotografja i dźwięk b. dobre.

KANDYD

OD WYDAWNICTWA

Zeszytem obecnym kończymy trzeci kwartał bieżącego rocznika „Myśli Narodowej". Z nastaniem jesieni rozpoczyna się sezon wzmożonego ruchu umysłowego i czytelnictwa, najdogodniejszy czas

rozpoczynania prenumeraty.

Stałych czytelników upraszamy o niezwlekanie z odnowieniem przedpłaty i o uregulowanie zaległości.

Dla prenumeratorów, opłacających odrazu dwa kwartały (do 1 kwietnia 1935 r.), cena z przesyłką zł. 17 (zamiast 18).

Konto „Myśli Narodowej" w P.K.O. Nr. 3.105

OFENSYWA

BERNSTEIN I BERNHARDT

NADCHODZI nowa fala I c h zapienionej nagonki na Polaków.

Jeden rok dali nam względny spokój, bo Ich za gardło ścisnął nieco Berlin, po łapach lekko trzepnął... Muzułmanin, no i tu i ówdzie nasypali za kołnierz trochę soli i pieprzu. Ale już sobie przypomnieli znów i o nas, wpadłszy na dziki pomysł, że może tą drogą mogą się przypochlebić... Hitlerowcom. Tak czy nie?

W Niemczech są pokorni. Przed plebiscytem *„Der Verband nationaldeutscher Juden"* wydaje 18 sierpnia strzelistą odezwę (u n a s z a t a j o n ą), w której są takie *curiosa*, przytaczane tu kupa-mięci *in facsimile...*

„Dem deutschen Vaterland gehört mit Leib und Seele auch derjenige Teil der deutschen Juden an, der kein anderes Vaterland als Deutschland kennt. Im Geist des Vermächtnisses des verewigten Reichpräsidenten bejahen auch wir die Vereinigung der Aemter des Reichspräsidenten und des Reichkanzlers. Wir fordern alle deutschfühlenden Juden auf, am 19. August mit Ja zu stimmen".

No i głosowali: *ja*, to znaczy *ad captandam benevolentiam* za Hitlerem. Katolicka opozycja głosowała: *nein*, nie chcemy. Hitler-*juden* głosowali: tak.

Ale równocześnie z wściekłością atakują Polaków w państwach b. Ententy, „demaskując" ich rzekome „germanofilstwo". W każdym numerze komunistycznego, czysto pansemickiego tygodnika *„The Week"* alarmistyczne insynuacje o marjażu Warszawy z Berlinem, aż wreszcie korespondencja z Genewy Cockburna, pierwsza wprost nowy aljans nam imputująca. *„The Week"* jest to ten sam tygodnik, który dwukrotnie stawał w namiętnej obronie dr. Rajchmana.

Po *„The Week*'u" wielki atak londyńskiego codziennego żargonowca *„Di Cajt"*, o nędzy i beznadziejnej sytuacji żydów w Polsce. A że oni „ponosili ofiary na rzecz wyzwolenia Polski", a że „społeczeństwo wypowiedziało im wojnę przez bojkot", przez hasło „swój do swego", że „walki tej nie wstrzymało nawet po przewrocie majowym", „którego bohatera ubóstwiali", a to, że „żydzi czekali lepszych czasów, gdy Polska wytrzeźwieje i opamięta się", (*sic*) a to, że „władze podatkowe ze szczególnym zapałem zajmują się dławieniem żydów" (*sic*) no i wreszcie *ultimatum:*

„Co będzie z 4-ro miljonowa ludnością i co rząd zamierza zrobić z 4 miljonami żydów? Pytanie to trzeba otwarcie postawić rządowi polskiemu i trzeba go z m u s i ć do udzielenie na nie odpowiedzi. Żydzi zagraniczni muszą w s k a z a ć rządowi polskiemu, że są zaniepokojeni i że reagują na postępowanie wobec żydów".

No i ż y d z i z a g r a n i c z n i wskazują teraz i zmuszają.

Pojawiają się równocześnie artykuły w nowojorskiem *„Jewish Daily Bulletin"* i w paryskiej *„Pariser Zeitung"*. Pierwszy redaguje Herman Bernstein, drugi redaguje Georg Bernhard. W pierwszym pisze „słynny" Borys Suwlar (*sic*), Smolar, dwa tygodnie temu przepędzony z Berlina, poczem gość Warszawy i tu przez Hirschhornów u Hirschfeldów nafaszerowany jak szczupak kalumniami na Polskę.

W paryskiem pisze *quidam* Hudec, z profesji komunista i oszczekiwacz krajów, w których *„Israël est roi"*.

„Jewish Daily Bulletin" założono półtora roku temu za wielkie pieniądze, pod patronatem Einsteina i Szajloków nowojorskich, specjalnie dla wieszania psów na Szwabów. Ostatnio, aby zaimponować Hitlerowi, wysłano do Berlina rozwiedzioną z Sinclair Lewisem żydówkę Thompson. Jak spekulowali w redakcji *„Jewish Daily Bulletin"*, Hitler okazał się brutalem wobec kobiety, i nowojorską Migową czy Muszałową wyprosił. Oczywiście wrzask i wycie we wszystkich *guardian*'ach i *ghettach* prasowych w niebogłosy. Po paszkwilach na Niemców żydówki Thompson, przeszły paszkwile na Polskę. Trzy z rzędu 5, 6, 7 sierpnia: „atmosfera przesycona żądzą krwi"... „Żydzi są w bezpośredniem fizycznem niebezpieczeństwie..." „ochrona ze strony władzy nie istnieje...", „rząd polski nie spełnił obowiązku obrony życia obywateli polskich żydów", „rząd przyjął program antysemicki", „zasłużenie tracąc zaufanie żydów".

W trzecim artykule Borys Smolar (*sic*) żąda wysłania specjalnej komisji kontrolnej do Polski, rewizorów, no i zrobienia tam porządku.

Wydrukował to ten Bernstein obdarzony wysokim orderem polskim swego czasu, gdy była idylla i stworzono „Komitet Dobrej Woli" (?). Było to w r. 1930. Robił w tym interesie prezes Tygiel (*sic*) z panami Winterem i dr. Tennenbaumenem. Obiecywali pod *chajrem* pożyczkę 50 miljonów dolarów. Potem się zaczęła psuć idylla z Polakami. Dla przebłagania nadchodzącego Hitleryzmu wszczęto w zimie 1932/33 potworną nagonkę na militarystów Polaków. Oddany żydom *„Hearstowrei Brisbane"* raz napadała na Paderewskiego, to znów na Piłsudskiego, że nie oddaje korytarza. Zaraz potem Siemion Strunśky w *„New York Times"*. Potem kolejno L. Szapiro (*„Merry go round of Europe"*), Padover (*„Let the Day"*), lord Merby z Londynu, goszczący w Milwaukee w obronie żydów, Villarda *„Nation"*, Lippman, dr. A. Kraus z Krakowa, kilku mówców na specjalnym *meeting*'u przeciw Polsce w *„Madison — Square Garden"*, rabin Wise (Weiss) no i wreszcie wystąpił z grubem dziełem Emil Lengyel, żyd węgierski. Tytuł: *„The Cauldron Bells Poland"* (Wrzący kocioł). Dziesięć rozdziałów w obronie Niemiec. Szczególnie rozczulał się Lengyel (znaczy się Polak, żyd z Polski) nad Hindenburgiem. Był w Poznaniu. Oburzony oglądał kamienicę, gdzie się Hindenburg urodził i gdzie dano tablicę „jakiegoś Karola Marcinkowskiego":

„Jeśliby chciał jechać samochodem przez „korytarz", władze polskie przy wstępie na polskie terytorjum przyczepiłyby do wozu kartkę z literą „T", która oznacza, że samochodowi nie wolno się zatrzymywać nigdzie na polskiem Pomorzu. Oznaczonoby mu czas wstępu na polskie terytorjum i wyjazdu z niego. Gdyby mu „nawaliła kicha", musiałby się zgłosić do najbliższego posterunku policyjnego, któryby mu poświadczył opóźnienie, w przeciwnym razie napotkałby na trudności przy wyjeździe z „korytarza". Biednemu Hindenburgowi, przejeżdżającemu przez polskie terytorjum, nie wolnoby było zatrzymać się w „Posen", gdzie ujrzał światło dzienne. „Posen" do końca wojny było niemieckiem miastem, dziś nazywa się Poznań i jest jednem z głównych miast polskich. Niemcy obchodzą urodziny swego Prezydenta, Poznań pozostaje obojętny".

O tym grubym, 300-stronicowym, brudnym paszkwilu węgiersko-żydowskiego, kupnego germanofila (1932) dziennik *„New-York Times"* (odznaczonego polskim orderem magnata prasowca, żyda Ochsa) pisał wówczas:

„Wertowanie stron tej książki pozostawia czytelnika pod wrażeniem beznadziejności. Autor maluje tak widocznie nie dające się pogodzić różnice, taki szereg nieodpartych politycznych sił, zderzających się z niedającemi się usunąć rasowemi sprawami, że czytelnik nabiera przekonania, że problemat Polski i jej narodowych mniejszości jest równie nierozwiązalny, jak ta klasyczna nierozwiązalność, którą Kipling określił w swej słynnej strofie: „O, Wschód to Wschód, a Zachód, to Zachód, i oba nigdy się nie spotkają".

W rok potem wszystkie te figury i typy przeniosły się ze swym szałem nienawiści (*Kampf gegen die Umwelt*) na Niemcy. I Wise i Ochs, Langyel, Padover, Shapiro, Villard, Lippman, lord Morley, *ex*-Lewisowa i t. p. Bernstein także.

W Paryżu zaś Bernhard, b. redaktor *„Tante Vossische"*, wśród nienawidzących Polski i Polaków, i podczas wojny i po wojnie najzajadlejszy, najperfidniejszy, najplugawszy. Banita, ale ongiś w Berlinie ustosunkowany i wiedzący wiele, zdradza wszystkie „tajemnice" Berlina masonerji paryskiej. Podwójny Azef z gatunku *„Semite qui sème antisemitisme"*. Dyszący mściwością, starotestamentaryczny, urodzony Judasz. Temu to Bernhardowi pisze teraz paszkwile na Polskę *homo* Hudec, komunista z Krakowa. W *„Pariser Zeitung"* też się domagają wysłania do Polski specjalnej komisji i rewizorów...

A ponieważ równocześnie na żydowskim Kongresie Genewskim szczuł na nas obstawiony przez Asza poeta paryski André Spire (zatajono), ponieważ zaczął kampanję insynuacyjną sędziwy kubańczyk Sauerweinas (z Kowna) i wszystkie te piśmidła, gdzie się z powrotem przez schody kuchenne wkręciły *press*-brudy i szmarotzery rodem *„aus dunkelsten Galizien"* (*darkest Lodomerry*), przeto można już mówić i trzeba ostrzegać o nadciągającej olbrzymiej, planetarnej nagonce.

Rok temu w Nowym Yorku dr. Tennenbaum (czy: blatt) pisał, że „gdyby dziś wybuchł konflikt Polski z Niemcami, żydostwo całego świata pośpieszyłoby z pomocą". Nie udało się „pacyfistom". *Inde ire Israeli.*

No i szczucie się zaczyna.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

— Co to jest „sanacja"?

— Jakby to panu powiedzieć? Pan zna Towarzystwo krzewienia kultury teatralnej? No — widzi pan — to jest takie samo Towarzystwo krzewienia kultury moralnej.

— Już wiem — byłem tam na operetce...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9,** półrocznie zł. **17,** rocznie zł. **32,** zagranicą kwart. zł. **12,** półroczn. zł. **24,** rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM